Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.



1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII | *Niedziela, dnia 1 stycznia 1939 r.* | Nr. 1







ENA VIOLETTA

2)

Duch nocy

POWIEŚĆ

— Za młodą jesteś, abyś mnie uczyła, mogłabyś ty skorzystać z moich nauk...

— Dziękuję, za mało jesteś pan wykształcony życiowo, a ta wiedza którą masz, nie interesuje mnie!

Oczy Montułła zapłonęły dziko, Terenia widząc to zaśmiała się, mówiąc:

— O, teraz, toś pan naturalny, proszę zrzucić z siebie skórę niewinnej owieczki, a ubrać... wilczą, będzie to wygodniej dla pana i... dla nas.

Rządca widząc, że rozmowa przybiera niebezpieczny obrót, zamienił to wszystko w żarty, mówiąc:

— Żarty, Tereniu, żarty!

Pani Montułłowa, primo voto Miroszewska przerwała rozmowę i zwracając się do dzieci rzekła:

— Zostawcie te wszystkie pakunki służbie i chodźcie do pokoju, czas wielki spocząć po tej długiej podróży.

— Fedor, weź moją walizkę, nie tę, tę brązową i chodź zaraz z nami, pokażę ci, gdzie ją masz ulokować — mówiła Terenia do chłopaka, na którego rządca patrzył groźnie.

— Idźcie, on zaraz za wami zaniesie — odrzekł Montułł.

— Ależ ja chcę już! — zawołała Terenia.

— Fedor, bierz i chodź! — rzekł Tadeusz.

Chłopak nie namyślał się długo, wziął walizkę i ruszył za nimi.

Weszli w otwartą furtkę, Terenia z matką idące na przedzie, weszły już do pokoju, gdy Tadeusz idący z Fedorem usłyszał za sobą znajome wołanie:

— Tadek!

Obejrzał się. Ku niemu szli szybko Lili i Henryk Pileńscy. Tadeusz uradowany pospieszył do nich, przywitali się serdecznie.

— Wyrosłeś chłopcze! — mówił wesoło Henryk. — Co słychać? mówże, a Terenia?

— Daj mu spokój! — wołała zaróżowiona Lili do brata. — Wiesz — zwróciła się do Tadka — mieliśmy jechać po was na stację, ale Fedor tak się pospieszył, że nie wiedzieliśmy nawet kiedy wyjechał.

— Tadziu, a Terenia? — pytał Henryk.

— Jest, jest, przebiera się zapewne po podróży.

Terenia zwabiona żywą rozmową przed domem, wyszła na korytarz; przebrana już w lekką ciemną sukienkę w biały rzucik, wyglądała prześlicznie.

— Aa, Lili! — zawołała i wybiegła z korytarza.

Lili objęła ją za szyję i całując ją, wołała:

— Co się z tobą działo? Dlaczegoś nie przyjeżdżała? Aleś wypiękniała, ślicznie!

— Lili, pozwól i mnie się przywitać! — wołał Henryk.

Terenia oswobodziła się z objęć Lili i podała rękę Henrykowi.

— Czy zostajemy nadal na przyjacielskim per ty, czy nie? — spytał młody Pileński, całując jej rękę.

— Jak pan uważa — odrzekła z uśmiechem.

— To już jestem panem, od kiedy? — zawołał jakby z wymówką.

— Dajcie spokój z tytułami — zawołała rezolutnie Lili — ja z Tadziem jesteśmy na dawnej stopie, to i wy również bądźcie!



Podczas tradycyjnych wyścigów konnych w Auteuil urocze Paryżanki rozgrzewają się przy przenośnym piecyku.

— Możemy! — zgodziła się.

— Chodźcie teraz do nas — mówiła roztrzepana Lili, ujmując ramię panny Miroszewskiej.

— Czy zaraz? — zaśmiał się Tadeusz. — Ja nie zdążyłem się jeszcze przebrać.

— Nic nie szkodzi. Na twoją garderobę nikt uwagi nie będzie zwracał. Gdyby tam było z pół tuzina obcych pań, to nie mówię, ale tam są sami panowie! Ale nic zapewne nie wiecie?! W naszej okolicy odbywają się manewry wojskowe a we dworze jest główna kwatera; powiadam ci Tereniu, jest wesoło, a panów rój! — mówiła ożywiona Lili.

— Tadziu, — westchnął żałośnie Henryk — akcje cywilów poszły w dół!

— Zaciekawiasz mnie. Kto to sprawił? — zawołał Tadek.

— Mundury. Gdzie się ruszysz, wojsko, gdzie się obejrzysz, wszędzie spotykasz szaro-zielone sylwetki wojaków. Wyobraź sobie, że nawet żeńska służba dworska wychwala pod niebo zuchów w mundurach, a co mówią nasze panie? — Niech ci Lili powie, bo i ona nie lepsza — mówił Henryk z komiczną desperacją.

— Lili, jestem zgorszony takim brakiem uznania dla nas! — zawołał Tadeusz, patrząc na roześmianą pannę.

— Zazdrość przez Heńka przemawia, że nie może donośnie rzucać rozkazów: marsz tu i tam! — odpowiedziała Lili, śmiejąc się. — Przekonasz się, że mówię szczerą prawdę, a teraz idziemy!

— Nie mogę, Lili — broniła się Terenia — moja skromna tualeta nie jest wizytową.

Henryk badawczo obrzucił jej sylwetkę oczyma.

— Nie opieraj się, Tereniu — rzekł — bo wyglądasz w tym stroju prześlicznie.

W drzwiach domu stanęła pani Miroszewska, a od furtki zbliżył się Montułł.

— Dlaczego stoicie przed domem, proszę do pokoju — zawołała pani Miroszewska.

— Ależ, proszę pani — zawołała Lili witając Miroszewską — my właśnie chcemy zabrać Terenię i Tadzia do dworu, niech pani poprze naszą sprawę.

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekła pani Miroszewska z uśmiechem, po przywitaniu się z młodymi Pileńskimi.

Montułł dotąd milczący, rzekł:

— Uważam, że po podróży należy wam się odpoczynek, a nie wizyty!

— Bardzo słusznie — podchwycił Henryk — ale gdy Terenia i Tadzik będą mieli sześćdziesiątkę pana rządcy.

— Nie jestem taki stary, jak pan sądzi — odparł Montułł.

— Ja nic nie sądzę — rzekł młody dziedzic.

— Chodźmy już — rzekła Lili, pociągając pannę Miroszewską.

Terenia spojrzała na matkę, ta skinęła głową i obie panie oddaliły się do dworu.

Gdy po pół godzinie potem Henryk i Tadeusz wchodzili do salonu państwa Pileńskich, zastali obie panie w otoczeniu wesołego towarzystwa.

Starzy państwo Pileńscy brali czynny udział w rozmowie jaką prowadzili panowie: pułkownik Rotwicki, kapitan Szerno, pułkownik Piaskowski i major Trakowski

z trzema paniami: Lili, Terenią i młodą majorową Trakowską.

Po przyjściu Tadeusza i Henryka, nastąpiły świeże powitania i na chwilę przerwana rozmowa popłynęła w jeszcze żywszym tempie dalej.

W domu rządcy było zaś zupełnie inaczej. Wszystkie walizki i paczki pod dozorem pani Miroszewskiej, zostały przeniesione do dwóch pokoi, które zajmowała pani Miroszewska z dziećmi. Chytry Montułł okazał się tak czułym na wygodę pasierbów, że z wersalską uprzejmością chciał oddać jeden swój pokój do dyspozycji pasierbicy, lecz żona kategorycznie odrzuciła jego ofiarę, wiedząc, co oznacza. Niezrażony tym Montułł, pomagał gorliwie żonie w różnych drobiazgach, pomimo, że Fedor i Natalka byli na jej usługach.

Pani Miroszewska chciała za wszelką cenę pozbyć się go z pokoju, wysyłała go to tu, to tam, dając mu różne zlecenia, ale on wypełniał wszystko sprawnie i prędko i powracał do pokojów żony.

Fedora nie zaczepiał, skrył na później złość. Był nawet dla niego łaskawym, ale mądry chłopak nie dał się tym wywieść w pole i w dalszym ciągu stawał w przyzwoitej odległości od rządcy.

Nadszedł wieczór, zapalono światła, a Terenia z bratem nie wracała ze dworu.

Montułł był cierpliwy, nie sarkał, ani mruczał, lecz gdy Natalka zapytała pani Miroszewskiej, czy podawać kolację i gdy ta odrzekła, że trzeba zaczekać na panienkę i panicza, Montułł po wyjściu dziewczyny rzekł do żony głosem pewnym i ostrzegającym:

— Moja kochana, nie bierz tego, co ci powiem, za przesadę ani kłamstwo, bo będziesz tego gorzko żałowała. Nie wiesz pewnie co się tu dzieje w okolicy podczas tych manewrów. Żadna dziewczyna, ani kobieta nie jest bezpieczna. Nie będę ci szczegółowo wyjaśniał, co grozi Tereni; chyba się sama domyślasz i jako dobra matka powinnaś temu zapobiec, nie pozwalając



Minister Chamberlain z żoną w chwili przybycia do ratusza w Paryżu.

córce przebywać często we dworze, bo tam tych wisusów jest najwięcej, aby uniknąć jakiegoś nieszczęścia.

Przez twarz słuchającej pani Miroszewskiej przebiegła łuna. Milczała, zastanawiając się, po chwili rumieniec zgasł na jej twarzy, spojrzała na męża przenikliwie i chłodno odrzekła:

— Niepotrzebnie się trapisz moją córką. Terenia jest już w tym wieku, że nie potrzeba jej pilnować; nie mogę jej bronić bywania we dworze, bo spotkani tam panowie na pewno nie posiadają tak niskiej duszy jak ty.

— To za moją dobrą radę jeszcze mi urągasz. Dobrze, nie wspomnę już o tym ani słówkiem, choć bym nawet coś widział!

— Zbyteczna fatyga! Bądź tak łaskaw do dzieci moich zupełnie się nie wtrącać, — bądź od nich z daleka i koniec!

Pani Miroszewska odwróciła się, chcąc wyjść z pokoju, lecz zatrzymała się, słysząc w korytarzu kroki powracających dzieci.

Do oświetlonego pokoju weszła Teresa, twarz jej płonęła wesołością; za nią wszedł

Wszystkim Czytelnikom, „Krainiakom" i Sympatykom

Dosiego Roku!

REDAKCJA
„Moich Powieści".

Tadeusz również z rozpromienioną twarzą.

Młodzi uważnie spojrzeli na matkę i ojczyma.

— Jesteśmy już — rzekła pierwsza Terenia, siadając przy stole.

— Czekamy na was z kolacją — odparła pani Miroszewska, otwierając drzwi do kuchni i wołając, aby podawano.

— My już jesteśmy po kolacji — zawołał Tadeusz — będziemy jednak towarzyszyć przy stole, dobrze mateczko! — To rzekłszy, ujął ramię matki i posadził ją na krześle obok siostry.

Podczas kolacji Montułł nie spuszczał oka z pasierbicy, pochłaniał ją wprost oczyma, co zauważywszy dziewczyna, zmarszczyła brwi, a pani Miroszewska skończywszy pospiesznie kolację, wstała od stołu, mówiąc do Montułła.

— Proszę, zostaw nas samych, potrzebujemy spoczynku.

Montułł wstał, pożegnał się i wyszedł.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz rano, we dworze, na podwórzu, w kuchni dworskiej i kuchni rządcy, panował wielki ruch. Na twarzach służby widać było przestrach, powtarzano sobie coś szeptem i żegnano się pobożnie.



Ostatnie spojrzenie w lustro i ostatnie dotknięcie delikatnym puszkiem urodziwych twarzyczek — za chwilę dwie siostry wezmą udział w wesołej zabawie sylwestrowej.

W głównej kwaterze wojskowej zebrana starszyzna konferowała nad czymś żywo, słuchając raportu wart nocnych; w kuchni dworskiej wśród zebranej czeladzi głos zabierał Borys, tłumacząc coś pilnie, a w kuchni rządcy Józefa i Natalka obsiadły jedzącego śniadanie Fedora, prosząc go o jakieś informacje, których chłopak nie chciał udzielać.

Zdarzyła się bowiem tej nocy rzecz niesamowita.

Między godziną dwunastą a pierwszą w nocy, straże wojskowe pełniące służbę koło bramy wjazdowej, ujrzały zbliżającego się jakiegoś osobnika od zewnątrz do dworu; brama była zamknięta i boczna furtka również, toteż wartownicy patrzyli zdziwieni, kto o tak późnej porze zbliża się do dworu.

Nieznany osobnik cicho bez szmeru zbliżył się do bocznej furtki i stanął i wówczas straż poznała ku swemu przerażeniu, że za bramą stoi kościotrup, okryty w czarną do ziemi opończę. Kościotrup tymczasem otworzył furtkę zamkniętą na klucz i wszedł na dziedziniec. Wówczas jeden ze straży, pomimo przerażenia i konsternacji, zawołał:

— Kto idzie?!

Widmo milczało.

— Kto jesteś?! — padło znów pytanie.

Znów cisza.

Kilka sekund długich jak wiek trwało milczenie, nagle widmo ruszyło się, kierując się do dworu.

— Stać, bo strzelę!! — zawołali jednocześnie dwaj żołnierze, kierując lufy karabinów w kościotrupa.

Widmo stanęło.

— Kto idzie?! — padło po raz trzeci pytanie straży.

Noc była bezksiężycowa, ale jasna i pogodna, przeto dwaj żołnierze zobaczyli zupełnie wyraźnie, jak widmo odwróciło się do nich całą postacią i w głębokich oczodołach i szkaradnie roześmianych szczękach błysnęły niesamowite czerwone ognie. Huknęły naraz dwa strzały, lecz bezcielesne widmo mknęło już w lipowej alei, ginąc wśród drzew, widocznie nietknięte ostrymi kulami.



Pracownicy fabryki jutowej w Warszawie wręczyli armii ufundowany przez siebie samolot RWD. 19.

Teodor zaś, zasiedziawszy się długo u Natalki w kuchni, wracał późno spać do dworu i przechodził właśnie aleją do wyjścia, a że dom rządcy osnuty był tajemnicą duchów, przeto chłopak oglądał się przezornie na wszystkie strony, czy czegoś czasem nie ujrzy. Oglądając się, zdawało mu się, że ktoś stoi pod oknami pani Miroszewskiej. Zawahał się chwilę. Dom od ogrodu oddzielony był wysokim, gęstym żywopłotem; może mu się zdawało tylko, że tam ktoś stoi, może to płot?

Nie ufając samemu sobie, zbliżył się kilka kroków do żywopłotu i stanął patrząc, teraz zobaczył, że istotnie ktoś stoi pod oknem pokoju, w którym spał Tadeusz.

Nie namyślając się długo zapytał:

— Kto tam stoi?

Miast odpowiedzi stojący pod oknem człowiek zaczął iść ku niemu, a w zbliżającym się Teodor poznał tego samego kościotrupa, którego straż ujrzała przy bramie.

Teodor na sekundę znieruchomiał, lecz ocknął się, zawrócił do furtki i wybiegł na drogę do dworu. Nie oglądając się, czuł za sobą pędzącego kościotrupa, dopadł do płotu i nie szukając już małej furtki, specjalnie tylko do użytku rządcy w tym miejscu będącej, zwinnie przesadził płot i zeskakując potknął się o jakiś kamień. Błyskawicznie namacał go, podniósł i palnął nim w sam czerep będącego po drugiej stronie widma. Jakiś charkot osobliwy wyrwał się z pomiędzy piszczeli kościotrupa. Widmo również przesadziło płot i pomknęło za uciekającym Teodorem.

Przed samym dworem Teodor stanął zziajany, zatrzymany przez drugą straż, pełniącą służbę w obrębie dworu.

— Co się stało? Kto cię goni? — pytali wartownicy.

— Strzelajcie do niego, to czart Montułła! — wołał Teodor pokazując na stojące przy drzewie widmo.

Żołnierze obejrzawszy się, zdążyli jeszcze zobaczyć, jak widmo wionęło ogniem i zniknęło w ciemnościach.

Fedor opowiedział żołnierzom swoje zajście i poszedł spać do Borysa na siano, a rano dowiedział się, że podobną przygodę z kościotrupem, miała również i straż przy głównej bramie.

Gdy Terenia obudziła się z rana, matka i brat od dawna byli już na nogach, a ten ostatni z niedowierzaniem słuchał opowiadań o wydarzeniach nocy.

Jedna tylko pani Miroszewska nie przejmowała się, ani nie dziwiła podobnym zjawiskom, które dość często niepokoiły dwór pileński i rezydencję rządcy. Inne myśli ją zajmowały, które chciała wprowadzić w życie i gdy Tadeusz poszedł z Henrykiem Pileńskim do dworu słuchać wiarogodnych zeznań, tych, którzy byli świadkami nocnych zajść, ona weszła do pokoju śpiącej córki.

Teresa nie spała. Matka usiadła na krawędzi łóżka i całując ją rzekła:

— Tereniu, chcę ci coś powiedzieć.

— Słucham mamusi — odrzekła dziewczyna, obejmując szyję matki.

— Widzisz dziecko, chciałabym, abyś jak najmniej widywała się z Montułłem i dlatego postanowiłam, żebyś nie jadła razem z nim przy stole, zawsze się spóźniaj, niech on na razie tego nie zauważy, zgadzasz się?

— W zupełności, nie jest mi wcale przyjemnie, gdy on na mnie tak zjadliwie patrzy. Ale o mnie, to bądź mateczko spokojna, nic on mi zrobić nie może, tym bardziej, że nie mieszkamy razem. Zresztą obecność Tadzia też dużo znaczy. Przeto nie martw się mamusiu, gdy jesteśmy razem. Może Bóg pokieruje tak naszymi losami, że zdołamy odsunąć się od Montułła na zawsze. Oby ta chwila jak najprędzej zawitała w naszym życiu.

— Może Bóg mi pozwoli dożyć jeszcze tej chwili — szepnęła matka, kryjąc ciężkie łzy na piersiach córki.

— Nie płacz, mamusiu, kto wierzy i ufa, ten radość znajdzie, a kto upada na duchu, tego zwątpienia pchają w przepaść — mówiła Terenia, tuląc tkliwie matkę do siebie.

Pani Miroszewska otarła łzy, patrząc na córkę, która ubierając się, mówiła dalej:

— Ja i Tadzik młodzi jesteśmy, zdrowe mamy ręce do pracy, która jest przed nami, jeszcze jeden rok brakuje nam do złożenia ostatnich egzaminów. Otrzymamy potem posady, wyjedziemy daleko i zapomnisz mateczko o tych koszmarnych dniach, któreś przeżyła pod dachem Montułła. Tyleśmy już przeżyli to i ten ostatni rok w Bogu nadzieja przeżyjemy — to mówiąc Teresa rozczesywała długie, piękne włosy, które okryły ją niby lśniący płaszcz królewski, splotła je i upięła nisko na karku.

Po śniadaniu wyszła do kuchni. Montułła nie było. Od świtu był już na folwarku przy gospodarstwie. Fedora też nie było. Terenia wchodząc zauważyła jakiś nieprzyjemny nastrój wśród służby; obie kobiety kucharka i Natalka były wystraszone i wylęknione. Zaczęła troskliwie dopytywać, co się stało. W kilku słowach opowiedziały jej co zaszło tej nocy, Teresa słuchała zdumiona .W końcu roześmiała się mówiąc:

— Bajki! Kto kiedykolwiek widział, aby podobna rzecz miała miejsce; duchy, kościotrupy to rzecz nieprawdopodobna!

— Ależ, proszę panienki, Fedor go widział na własne oczy i bił się z nim! — zawołała Natalka.

— Bił się z nim? Przecież z duchem bić się nie można, bo to jest istota bezcielesna, więc jak to możliwe?

— A właśnie, że to duch, bo straże przy bramie do niego strzelały i nic mu nie zrobiły! To naprawdę, panienko, zły duch Montułła. Fedor go widział, jak pod oknem Montułła stał, a Fedor nie kłamie — mówiła kucharka.

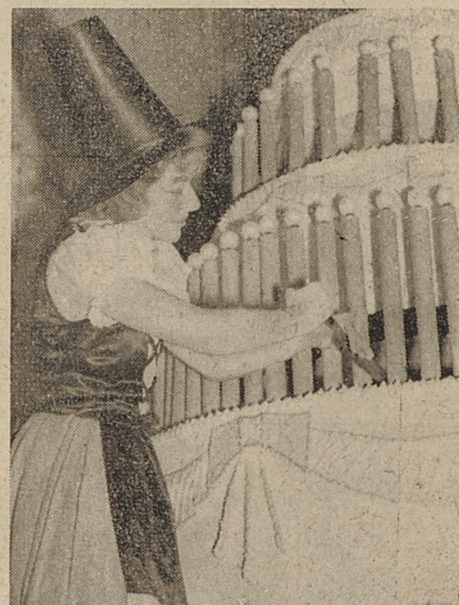
Zaznaczyć jeszcze trzeba, że Fedor podczas zeznań we dworze istotnie powiedział, że ducha widział pod oknem Montułła, a nie pod oknami pani Miroszewskiej. Dlaczego tak powiedział. Sam na razie nie wiedział, dość, że spryt jego wstrzymał się od tej prawdy, przeczuwając instynktem, że może mu się to jeszcze na coś przydać, a może jeszcze komu.

Terenia po ostatnich słowach kucharki otworzyła drzwi do pokoju i spytała matki:

— Mamusiu, czy to, co mi tu opowiadają w kuchni miało na prawdę miejsce dzisiejszej nocy?

— Podobno — odrzekła pani Miroszewska. — Ty się przejmujesz tym, Tereniu?

— Nie, mnie to śmieszy, gdyż nie wierzę w podobną historię. Takie zjawiska mogłyby mieć miejsce, gdyby tutaj zdarzyła się jakaś zbrodnia, jakaś straszna tajemnica, która by aż zza grobu szukała pomsty



W Anglii istnieje stary zwyczaj przyrządzania t. zw. sylwestrowego tortu, o dużych rozmiarach. Oto imponujący trzypiętrowy tort, ładnie udekorowany świeczkami i deseniem z kremu.

na kimś żyjącym tutaj we dworze. Przypuśćmy, że tak, więc kto to jest? Montułł?

— Tak! — zawołały obie kobiety w kuchni.

— Wątpię — odrzekła Terenia. — Prawda, że Montułł jest człowiekiem złym, ale żeby popełnił rzecz taką straszną, to go chyba o to nie posądzacie? — pytające spojrzenie utkwiła w twarzach dwóch kobiet.

Natalka i Józefa spojrzały na siebie, na ustach ich zatrzymały się jakieś słowa.

— Dlaczego nie odpowiadacie? Obwiniacie Montułła? — spytała Terenia.

Kucharka spojrzała na otwarte drzwi do pokoju pani Miroszewskiej i nie widząc jej szepnęła:

— Moja panienko kochana, nie jest on taki niewinny, niejedno ma na sumieniu. Wiedzą we wsi, kto uwiódł Ksenię Bergałły i domyślają się, kto był przyczyną utonięcia w jeziorze jej męża. To bardzo zły człowiek, panienko, to czort w ludzkim ciele, on i na panienkę ostrzy zęby, widzimy to dobrze.

— Połamie swoje pazury przy tym — rzekła w zamyśleniu Terenia. — Opowiedzcie mi, jak to było z ową Ksenią.

Natalka zamknęła drzwi do pokoju pani a stara kucharka zaczęła opowiadać:

— Ładnych parę roków temu jak we wsi mieszkała Ksenia Bergałło, córka kowala. Była to dziewczyna ładna jak kalina. Wszyscy chłopcy za nią biegali, wszyscy się w niej durzyli, ona jednak nic sobie z tego nie robiła, doglądała starego ojca, zbierała grzyby i jagody w lesie i żyli sobie cicho w swej sadybie. Nie wiadomo, kiedy dojrzał ją rządca; podobała mu się, zaczął ją bałamucić, ale uczciwa i harda dziewczyna, ani patrzała na niego i jego umizgi i gdy pewnego razu pod jakimś pozorem przyszedł do ich chaty, wyrzuciła go za drzwi i wyszczuła psem. W kilka miesięcy potem zmówiła się z Jaśkiem Downarem; mieli ślubować, lecz jednego dnia będąc w lesie spotkała rządcę, który samowolnie zemścił się na dziewczynie. Jasiek Downar poślubił Ksenię, pomimo że wiedział co zaszło, poprzysiągł tylko straszną zemstę. Lat parę przeszło. Ksenia popłakując cicho usychała z dnia na dzień, aż wyzionęła ducha. Jasiek po jej śmierci przyjął służbę we dworze. Z rządcą się widywał często, lecz milczał jak grób.

Gdy raz nie przyszedł rano do dworu, posłali po niego, jednak w chacie nie zastali go; stary Bergałło siedział z małym wnukiem i zdziwiony odrzekł, że na noc wcale nie wracał. Po kilku dniach ciało Jaśka znaleziono na brzegu jeziora, była tam również i łódka z sieciami na ryby, ale to tylko dla pozoru, panienko, bo to wszyscy w skrytości wiedzą, że nie utopił się sami ani przypadkowo, lecz, że sprawcą tego był Montułł.

Teresa słuchając tej opowieści wzdrygnęła się.

— Nikczemny to człowiek — szepnęła.

— On już zaprzepaścił swoją duszę — rzekła kucharka. — Widziała panienka zakryte okna w jego gabinecie, to on tam przyjmuje swoich czortów. Nikomu nie pozwala wejść do tego pokoju, nawet sprzątać nie pozwala, sam sobie pewnie to robi, a ten drugi pokój to sprzątamy w jego obecności, taki zatracony to człowiek.

— Czy te duchy często ukazują się we dworze i tu w domu rządcy? — spytała Terenia.

— Nie raz, nie raz je tu już widywano! — odrzekła Natalka.

— A może ten kościotrup jest Jaśkiem Downarem? — rzekła kucharka.

— To za co by gonił po podwórzu Fedora? To niemożliwe! — zawołała Terenia wychodząc z kuchni.

Wyszedłszy na dwór Terenia postanowiła zbadać owe zakryte okna gabinetu Montułła, uszła kilka kroków i zatrzymała się przed nimi.

Rozkład domu był taki, że z dwóch pokoi pani Miroszewskiej wchodziło się do kuchni, a z kuchni było jedno wyjście do ogrodu, oddzielonego tylko gęstym, wysokim żywopłotem. Zaś z dwóch pokoi



Fot. Podolębski

Pieśń Nowego Roku!

Słyszycie? —
jak echo napływa
z północnych wyżyn...
jak biją łuny szkarłatne
rozśpiewanego miasta?
wiatr w gong księżycowy uderzył...
Dzwonom serca rozśpiewały się
godziną dwunastą... — — —

Nadszedł już Nowy Rok,
pełen hymnu powitań...
uniesień...
słoneczną cząstkę życia,
pełną tajemnych obietnic
w dłoniach swych niesie...

Dzieli się wieścią swą z nami
i śpiewa
— rozkołysanymi dzwonami...
w liliowym mroku...
Podzielmy się szczerą radością,
złączmy serca świetlaną miłością
w tym Nowym Roku!...

Józef Baranowski.

Montułła były również drzwi do kuchni, lecz po odseparowaniu się, zostały one zamknięte, a na dodatek pani Miroszewska idąc za radą Fedora, kazała je jeszcze zabić deskami od strony kuchni i postawić na nich kuchenną szafę, z frontu zaś był mały korytarzyk i dwa wejścia: jedno do pani Miroszewskiej, drugie do Montułła.

Terenia patrzyła chwilkę na zasłonięte purpurowymi roletami okna i po namyśle zbliżyła się, chcąc może przez jakąś szparkę zajrzeć do środka. Lecz daremnie, okna były tak szczelnie zakryte, że marzyć o tym nie było można.

— Ty coś kryjesz w tym gabinecie, panie Montułł — szepnęła do siebie, idąc alejką na front domu. Doszła do furtki otworzyła ją i wyszła.

W dworskiej alei lipowej stała Lili, majorowa Trakowska z mężem, Heniek, Tadek, pułkownik Rotnicki, stary Pileński i jeszcze kilku wojskowych, gdy zbliżyła się do nich Terenia.

Pułkownik Rotnicki, trzydziestopięcioletni mężczyzna, wysoki silny o męskiej dorodnej twarzy, z natury nerwus i choleryk, a w gruncie rzeczy dobry chłop, żywo podskoczył do Tereni i witając ją zawołał:

— Słyszała już pani, co się działo dziś w nocy?!

— Owszem, i państwo wszyscy temu wierzycie?

— Mamy przecież jasne i wiarygodne dowody — odrzekł major Trakowski.

— A ty nie wierzysz w to, Tereniu? — spytał Heniek.

— Prawie że nie, przecież to wygląda na legendę! Duchy, widma, sporty z kościotrupami po podwórzach, czyż to nie są bajki?

— Tak nam się wydaje w świetle dziennym, a jednak w nocy to miało miejsce — odrzekł stary Pileński.

— Ja pierwszy raz w życiu spotykam podobny wypadek — mówił kapitan Szerno — a w wielu my wojskowi znajdujemy się miejscowościach, ile mamy za sobą różnych przygód, ale takiej, tośmy jeszcze nie spotkali.

— Prawda — przyznał pułkownik Rotwicki — pewnego razu podczas manewrów byliśmy w takiej dzikiej niemiłej miejscowości, że aż dreszcz przechodziła, na deser musieliśmy nocować w ruinach jakiegoś zamku, który podobno obfitował w nadzwyczajne okazy nocne. Jednak na szczęście nic nie widzieliśmy, nic naszego snu nie zakłóciło i nic się nam nie przytrafiło, to tylko, że jeden chłopak wlazł dość wysoko na krawędź muru i spadł, nic sobie jednak nie zrobił. Ale tak nadprzyrodzonych zjawisk jak dzisiejszej nocy, to naprawdę nie spotkaliśmy.

— To jakiś nadzwyczajny fenomen — rzekła majorowa Trahowska, — Ja się boję podobnych zjawisk nocnych, żeby tylko ten duch nie myślał spacerować po pokojach bo za nic nie mieszkałabym we dworze!

— Ja również się boję — szepnęła Lili.

— Dajcie już państwo spokój z tym strachem! — zawołał stary Pileński energicznie, chcąc przerwać przykrą dyskusję w obawie, aby która z pań na serio się nie przeraziła — Był strach, więcej go nie będzie i koniec! A teraz was przeproszę, bo muszę zajrzeć na pole.

Po ostatnich słowach Pileńskiego towarzystwo się rozsypało. Majorowa Trakowska odeszła z mężem i kilku jeszcze panami. Heniek i Tadek ruszyli za Pileńskim bo chcieli jeszcze pokonferować na temat ducha, a Lili i Terenia w towarzystwie pułkownika Rotwickiego i kapitana Szerno udały się do parku.

— Wie pani — mówił pułkownik Rotwicki do Tereni — taki jestem podniecony tym zajściem nocnym, że nie mogę o niczym innym mówić, obawiam się tylko czy panią ten temat nie przejmuje?

— Ależ nie,, wcale się nie obawiam i powiem panu szczerze, że nie wierzę w tego ducha. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie mogę temu uwierzyć. A pan wierzy temu na serio?

— Raz wierzę i raz nie wierzę, ale utrwala mnie to, że postawione straże były z mego pułku, a u mnie panuje rygor i dyscyplina, więc żaden by nie ośmielił się robić alarmu bez powodu, wiedząc, co go czeka za to. Lecz nie mópmy tu już o moich żołnierzach przypuśćmy, że przewidzieli się, czy ulegli jakiejś halucynacji, ale Fedor państwa, chłopak trzeźwy, i od-



Książę Karnawał rozpoczął swe panowanie...

ważny mało że go widział ale ten go jeszcze gonił i chłopak rzucił nań kamieniem, obroniły go od dalszej pogoni drugie straże przed dworem. Co pani o tym sądzi?

— Zadziwiające! Czyżby powracały prastare czasy kiedy po domach grasowały duchy, a po polach upiory?

Ja się nie boję, po prostu śmiać mi się chce z tych wszystkich poważnych min, ale gdybym, co nie daj Boże, zobaczyła takie nocne zjawisko, to chybabym umarła.

— Proszę, niech pani nawet nie myśli o tym, na pewno nie powtórzy się już więcej taki wypadek. Panna Lila mówiła mi, że jest pani zwolenniczką konnej jazdy, dlatego więc pytam, czy przyjmie pani propozycję naszą i zechce jechać z nami konno nad jezioro Dryświaty? Panna Lili ma pani zakomunikować tę wiadomość, ale ja się pospieszyłem i proszę o odpowiedź? — mówił pułkownik zmieniając nagle temat rozmowy.

— A jeśli odmówię?

— Proszę pani, my wojskowi nim zdobywamy twierdzę, to najpierw prosimy grzecznie żeby się poddała bez oporu, a jeśli nie chce przyjąć naszych grzecznych to wówczas bierzemy siłą — mówił żartobliwie Rotwicki.

— To znaczy, że jeżeli się nie zgodzę, weźmiecie mie siłą?

— Nie będzie innej rady!

— Zostaje mi w takim wypadku jedno wyjście - dezercja! — śmiała się Terenia.

— Za późno już, wszystkie drogi odcięte, na wszystkich liniach stoi moje wojsko!

— Pożyczę sobie jakiegoś chytrego fortelu od nieboszczyka Zagłoby, lub nieśmiertelnego Ulissesa i wymknę się cichaczem!

— Daremny trud, panno Tereniu.

Terenia stanęła i z komiczną desperacją załamała ręce mówiąc:

— Więc co mam zrobić?

— Poddać się — odrzekł patrząc na nią z zachwytem.

— Skromne wymaganie. A jeśli ja nie zechcę się poddać i siła mnie również do tego nie zmusi, to co wówczas? — odrzekła patrząc na niego wesoło.

— To wówczas ja się poddam, ale z warunkiem...

— Jakim?

— Że będzie mi wolno kochać i będę kochanym! — odrzekł żywo, zatapiając czarne oczy w jej błękitach.

Zarumieniła się mocno i idąc obok niego spytała:

— Czy pan podobną polemikę prowadzi z każdą kobietą?

— Niech Bóg broni!

— Więc co pana ośmieliło do prowadzenia jej ze mną?

— Pani się na mnie gniewa? Mój Boże, przecież ja nie chciałem pani obrazić! Mam tylko taką wstrętną naturę, że co czuję w sercu, to muszę powiedzieć, a że uległem pani urokowi, tego wcale nie mam zamiaru taić!

— Tak prędko? To widzę, że pana twierdza łatwa do zdobycia!

— Nie, proszę pani. Moja twierdza jest twardą jak granit i nikt jej do tej pory nie zdobył! Pani daruje moją szczerość, ale pani jedno spojrzenie, spojrzenie takie, które nie śniło nawet o zdobywaniu, zdołało ją zdobyć i roztworzyć jej bramy szeroko. Nie powiem, że kocham panią, bo to mogło by się pani wydawać śmiesznym, wczoraj panią poznałem, a dziś jej mówię o miłości prawda? Ale że mi się pani bardzo, ogromnie, nad życie podoba i że bramy mej twierdzy nie zamkną się prędzej aż pani tam wejdzie, to ręczę za to oficerskim słowem honoru! — mówił pułkownik żywo, patrząc na swą towarzyszkę gorącymi oczyma.

— Wielki bałamut z pana! — zawołała śmiejąc się Terenia. W ogóle, wy wojskowi, macie trochę śmiałości.

— Grunt to odwaga, chciałaby pani, żebym był tchórzem? Nie chyba, a co do bałamuctwa, to niesłusznie mnie pani oskarża o to, gdyż nie należę do swojskiego chowu Don Juanów. Jak kocham, to prawdziwie, a jak nienawidzę to nie na żarty!

Terenia zaśmiała się srebrzyście.

— To może ja mam drżeć przed panem?

— Uchowaj Boże, moja władza przy pani ginie! Panno Tereniu, ja się już pani pół wyspowiadałem, niech więc otrzymam za to chociaż maleńkie rozgrzeszenie.

— Ciekawam jakie?

— Niech mi pani odpowie na jedno pytanie, ale szczerze, tak de profundis, dobrze?

— Nie wiem, to zależy jakiej treści będzie to pytanie.

— Takiej: podobam się pani choć troszeczkę? — to mówiąc pochylił się do niej.

— Wcale mi się pan nie podoba!

— Zobaczymy!

— Panno Tereniu, niech mnie pani nie tyranizuje i nie grozi mi tą nadzieją „nie", bo naprawdę nie wytrzymam!

— Czy pana te duchy tak podnieciły?

— Nie — odrzekł śmiejąc się — Ale mi pani nie odpowiedziała na moje pytanie?

— Owszem, już odpowiedziałam!

— Ale nieszczerze!

— Skąd taki wniosek?

— Jestem trochę chiromantą i umiem odgadywać myśli, tyczące się oczywiście mojej osoby.

— Tak, ślicznie! Proszę mi więc powiedzieć, co ja teraz myślę! — zawołała Terenia, rozbawionymi oczyma patrząc na niego.

— Dobrze, lecz myśli pani muszą być tylko wyłącznie o mnie!

— Cóż ja mogę o panu myśleć? Nic!

— Więc jestem w oczach pani, nic nie wart?!

— Tego nie mówię!

— Jeśli pani tego nie mówi, to znaczy, że cośkolwiek może pani myśleć o mnie, chociaż to: czy się pani podobam, lub nie. Więc proszę, niech pani myśli a ja odgadnę, tylko proszę myśleć o mnie.

— No dobrze, niech pan odgaduje — odrzekła śmiejąc się.

— Jesteś wielki nicpoń, ale mi się podobasz!

— Tak pani myśli o mnie — zawołał Rotwicki.

Zarumieniła się po raz drugi.

— Staje się pan zarozumiałym i niegrzecznym — odrzekła marszcząc lekko brwi.

— Panno Tereniu, niech się pani na mnie nie gniewa. Jak mi Bóg miły, nie chciałem pani obrazić, proszę to włożyć na karb mego antypatycznego charakteru. Nie gniewa się pani? Przyrzekam solennie, że się to już więcej nie powtórzy, dobrze? — mówił patrząc z prośbą na nią.

— Zobaczę, czy pan nie złamie przyrzeczenia — odrzekła Terenia. — A teraz zmienimy temat rozmowy. Niech mi pan powie, czy nocy dzisiejszej będą stały te same straże co wczoraj, czy inne?

— Straże będą inne i zdwojone, a dlaczego pani uważa, że prowadzimy temat rozmowy nieodpowiedni?

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WITOLD ZECHENTER

2)

Avaxara

POWIEŚĆ

Szofer z długą czarną brodą otworzył drzwiczki auta. Ktoś siedzący wewnątrz podał posłowi rękę. Drzwiczki zatrzasnęły się szybko uderzając jeszcze o obcas lewego trzewika posła.

Auto ruszyło.

— Panie?

Poseł wpatrzył się zdziwiony w twarz swego towarzysza. W półmroku widział dużą, czarną brodę i czapkę zsuniętą na oczy.

Nieznajomy nie odrzekł nic, nie puszczając z twardego uścisku ręki posła.

Nagle —

Jak w kinie przebiegła przez mózg posła cała ta taśma dziwnych rzeczy — i równocześnie straszny niepokój wyperlił mu się na łysinę pod czarnym melonikiem.

Zmieniony głos posła Mareau — szofer z długą czarną brodą, — nieznajomy z długą czarną brodą. —

Chciał wyrwać rękę.

Uścisk nieznajomego stał się żelazny.

Poseł otworzył usta, by krzyknąć:

— Ratunku! Komuniści!

Ale nie zdążył wypowiedzieć ani „ra" ani nawet „r".

Nieznajomy puścił jego rękę i błyskawicznie zarzucił mu na twarz jakąś miękką materię.

Poseł chciał się bronić, ale nie mógł. Nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą.

Wdychiwał dziwny zapach, aż zapadł w sen.

Nie widział, że auto przemknęło koło Opery, nie myśląc nawet o zatrzymaniu się przed jasno oświetloną kawiarnią de la Paix.

ROZDZIAŁ IV.

NA DRUTACH TELEFONICZNYCH

Pani de Ronet podeszła do telefonu.

— Obrzydliwy pijus!

Godzina 12 wybiła na St. Etienne du Mont dźwięcznie i melodyjnie. Godzina 12 wybiła niemo w sercu pani de Ronet.

— „Café de la Paix.

— Łączę...

Senny głos telefonistki uprzytomnił pani de Ronet miękką pościel, jaką opuściła.

— A, obrzydli — Halo? „Café de la Paix"?

— Tak jest.

— Proszę do telefonu posła de Ronet.

— Zawiadomię.

Rozgoryczona pani de Ronet drżała w szlafroku ze słuchawką przy uchu. Za często, za często zdarzają się te polityczne rozmówki w łonie klubu! Za często ten gabinet w „Café de la Paix"! Potem wraca obrzydliwy, upity — a rano ściągnąć go nie można z łóżka!

Musi wprowadzić na nowo dawny porządek domowy — porządek lewicowy, do którego wzdychała. Odkąd przeszedł do prawicy, zaczęły się te prawicowe konferencje w „Café de la Paix"! Nie, pani de Ronet nie podzielała sympatii partyjnych swego świetnego męża. Jak dobrze było za czasów lewicy!

— Halo!

— Słucham...

— Gdzie miał być poseł de Ronet? Na górze, czy na dole?

— W gabinecie na piętrze.

— Nie ma tam pana posła.

— Musi być!

— Maitre d'hotel powiedział mi, że w żadnym gabinecie nie ma pana posła de Ronet.

— Ależ musi być! Gabinet został zapewne zamówiony przez posła Mareau lub Croix Laval — lub —

— Żadnego z panów posłów dziś u nas nie było. Czy popatrzeć na dole?

— Nie, może być tylko na górze.

— Nie ma pana posła z wszelką pewnością — odrzekł zniecierpliwiony głos.

Cóż miała zrobić?

— Dziękuję.

— Pro —

Powiesiła słuchawkę. Poszedł pić gdzieindziej. Ale to było dziwne. Lubił tylko „Café de la Paix". A zresztą — wiedzieliby w kawiarni, gdyby posłowie byli...

Co zrobić?

Nagle przyszło jej coś na myśl.

— Naturalnie! Mareau...

Numer telefonu posła Mareau widniał na karteczce powieszonej nad aparatem. Podniosła słuchawkę i podała go. Długo czekała, słysząc terkot dzwonka, aż ktoś zdjął słuchawkę.

— Kto mówi? — spytał gniewny głos.

— Posłowa de Ronet. Czy mogę mówić z panem posłem?

— Pan poseł już śpi — odrzekł głos uprzejmie — ale —

— Bardzo mi zależy na natychmiastowym —

— Obudzę pana posła.

Mareau śpi? Co to ma znaczyć!

— Halo? Moje najniższe ukłony...

— Panie pośle! Gdzie jest mój mąż?

— Jakto? — spytał zaspany głos, modulując uprzejmość z ziewnięciem.

— Mąż mój poszedł dziś na wezwanie pana na zebranie do —

— Moje wezwanie?

Pani de Ronet zadrżała.

— Telefonował pan do męża po siódmej.

— Nie telefonowałem wcale. Rozstaliśmy się do jutra dziś w południe.

— Ależ telefonował pan z pewnością — wezwał pan męża do „Café de la Paix".

— Z wszelką pewnością nie... Położyłem się dziś spać wyjątkowo wcześnie — aż wstyd przyznać się — o dziesiątej —

— Panie pośle! Lękam się! Co to znaczy?

— Więc pana de Ronet nie ma w domu?

— Poszedł po siódmej. Powiedział mi, że teleofnował pan po niego i że z Rachet, Croix Laval i Vernon macie się zejść w „Café de la Paix".

— Poszedł i nie wrócił — teraz jest —

— Dochodzi pół do pierwszej.

Nastała chwila ciszy.

— Halo?

— Pani posłowo... rano mąż wygłosił —

— Wiem... Precz z komunizmem... Więc —

— Obawiam się —

Pani de Ronet pobladła.

— Pan się obawia —

— Może to jakaś napaść — odgrażali się dzisiaj — Braunberg —

— Sądzi pan, że to możliwe?

— Zupełnie możliwe. Ktoś podszył się pod moje nazwisko i wywabił posła z domu. Ale — proszę się jeszcze nie przerażać.

— Jeszcze —

— Może się mylę, może mąż pani —

— On nie wychodzi nigdy nie mówiąc mi, gdzie idzie — zaprotestowała drżącym głosem — nigdy —



Matki z niemowlętami w nowootwartym schronisku dla niemowląt.



— Więc radziłbym pani —
— Słucham —
— Zatelefonować —
— Na policję?
— Tak.
— Gdzie?
— Oddział śledczy, naturalnie —
— Numer?
— Nie pamiętam — można poszukać — nie, szkoda czasu, teleofnistka połączy bez podania numeru. Proszę zażądać oddziału śledczego policji — i opowie—

Pani de Ronet nie słuchała do końca. Nacisnęła haczyk.

— Halo! Oddział śledczy policji!

Senny głos telefonistki zapytał:

— Śledczy?
— Szybko, na litość boską. Ważna sprawa!

Zadzwonił daleki dzwonek.

— Halo?
— Tu posłowa de Ronet. Uprowadzono mego męża!
— Kto mówi?
— Posłowa de Ronet.
— Tu Lafettal.

Odetchnęła. Lafettal był dyrektorem oddziału śledczego. Nazwisko jego spotykała często na szpaltach gazet.

— Uprowadzono mego męża...
— Proszę opowiedzieć spokojnie i krótko...
— O siódmej wieczór zatelefonował po męża poseł Mareau, przyzywając go na zebranie do „Café de la Paix".
— Przepraszam — to dziś rano wygłosił mąż pani —
— Tak, przeciw komunistom —
— Słucham dalej.
— Widziałam, jak mąż wsiadł do czekającego nań auta. Gdy nie wrócił do dwunastej, zatelefonowałam do „Café". Nie było go wcale — ani innych posłów. Zatelefonowałam do posła Mareau. Oświadczył mi, że nie wzywał wcale mego męża i poradził mi zawiadomić policję, gdyż —
— Obawia się komunistów?
— Tak!
— Za pięć minut będę u pani. Adres?
— 5, rue Clotilde.

Powiesiła słuchawkę cała drżąca. Cała drżąca włożyła szybko niedzielny, czerwony szlafrok. Cała drżąca wypudrowała się i poprawiła włosy. Usiadła czekając. Wzrok jej padł na jej gołe nogi w pantoflach. Szybko włożyła pończochy i trzewiki.

W tej chwili zadzwonił telefon.

Podbiegła.

— Halo!
— Poseł de Ronet?
— Nie ma, po — kto mówi?
— Nie wrócił jeszcze? Niech pani zawiadomi policję! — mówił nalegająco nieznany jej głos.
— Zawiadomiłam już.
— To świetnie — niech pani poprosi, by przybył do pani dyrektor Lafettal...
— Ma być u mnie za parę minut!
— Świetnie! Czy może mówię z żoną pana posła?
— Tak.
— Proszę pani! — mówił nieznany głos teraz bardzo spokojnie. — Proszę się nic nie obawiać! Mąż pani z pewnością powróci — wnet — do domu... Niech pani tylko koniecznie poprosi dyrektora Lafettal.
— Ależ będzie u mnie za parę minut. Kto to mówi? — pytała gorączkowo. — Pan zapewnia, że mąż mój —
— Powróci wnet! Tu mówi poseł Vernon.

Nie znała osobiście posła Vernon. Chciała zapytać o coś — o „Cafe de la Paix" — ale rozmowa została przerwana. Zresztą w tej chwili usłyszała zajeżdżające przed dom auto.

Pobiegła do drzwi. Za chwilę usłyszała kroki na schodach. Otwarła drzwi.

— Jestem Lafettal — rzekł wysoki, łysy, dobrodusznie wyglądający mężczyzna.

Poprosiła go do salonu. Była dziwnie uspokojona zapewniającym głosem posła Vernon.

— Więc to nie poseł Mareau wezwał męża pani?
— Nie. Ale —
— Czy mąż pani obawiał się —
— Nie, ale —
— Nie obawiał się niczego? Wyszedł zupełnie —
— Zupełnie, ale —
— Zupełnie spokojny — kończył powoli dyrektor.
— Tak, ale właśnie telefonował do mnie przed chwilą —
— Kto?
— Poseł Vernon.
— Że?
— Że mąż mój wróci zaraz.

Dyrektor popatrzył po ojcowsku na niestaro wyglądającą kobietę w ładnym szlafroku i ze śladami szybkiego przypudrowania się na twarzy.

— To znaczy?
— Nie wiem...
— Że alarm niepotrzebny... że poszli do innego lokalu?
— Nie — nie wiem —

Dyrektor wstał i stanął w oknie. Nagle podszedł do telefonu. Szybko przerzucił książkę telefoniczną.

Podał jakiś numer.

Potem:

— Halo? poseł Vernon?... Jest? Śpi zapewne... To nic, proszę go zaraz obudzić... Dyrektor policji śledczej Lafettal...

Zwrócił się do pani de Ronet:

— Zaraz coś sprawdzimy.

Za chwilę spytał do telefonu:

— Poseł Vernon?... Tu dyrektor Lafettal... Czy telefonował pan poseł przed chwilą do pani de Ronet?... Nie?... A czy widział się pan dziś z posłem de Ronet?... No, tak, ale wieczór, po siódmej?... Nie? Nie mieliście panowie zebrania w „Café de la Paix"... Nie? Ani gdzieindziej?... Dziękuję i przepraszam za przerwanie snu... Nie, nie... Dziękuję...

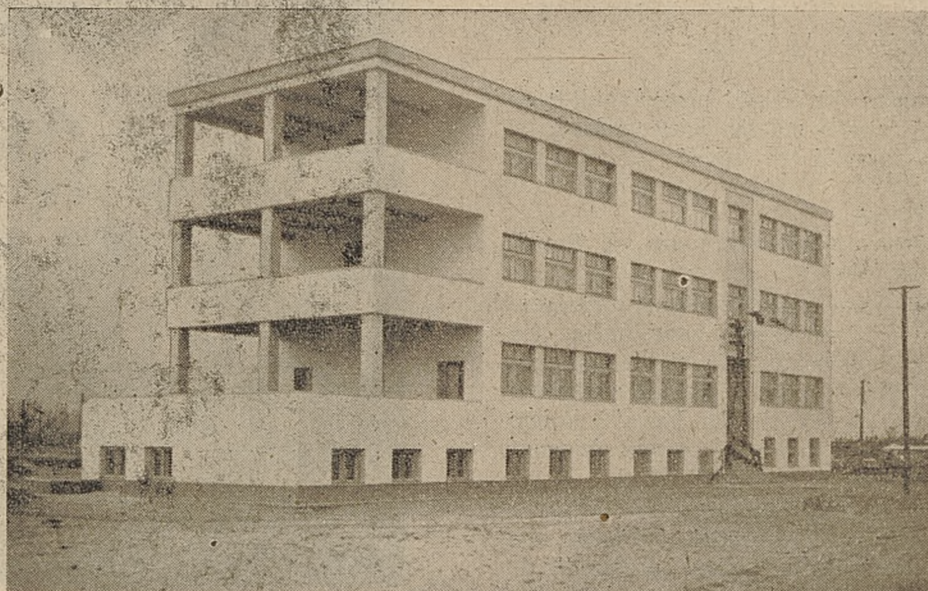
Powiesił słuchawkę.

— Ani poseł Mareau —
— Ani poseł Vernon — dokończyła pani de Ronet osuwając się we fotelu.
— Ach! — uderzył się nagle w czoło i podbiegł znów do teleofnu.
— Halo! Centrala?... Czy może mi pani podać ostatni numer, który mówił z tym numerem?... Czterdzieści dziewięć — co? to jest rozmównica publiczna?... na pewno?... Dziękuję...

Usiadł w fotelu.

— Rozmównica publiczna...

Ciąg dalszy na str. 13.


W Warszawie na Bielanach otwarto schronisko dla niemowląt.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

NOWY ROK

Łuna bije nad miastem —
ciemność nad polami — —
miasto świeci tysiącem latarń,
błękit mruga gwiazdami...

Uśmiech ozdobił nam usta,
prysnął smutek bezbrzeżny...
bo Nowy Rok nas powitał
swoim całunem śnieżnym...

Każdy się z nas raduje,
każdy ma nadzieję,
że będzie lepiej może,
gdy Nowy Rok zadnieje...

Radują się wokół wszyscy
i Nowy Rok się uśmiecha...
wita go każdy mieszczanin
i każda wiejska strzecha.

Króluj nam Wielka Ero
nowego szczęścia kroku —
niech nikt nie zazna smutku
w tym Nowym Roku!...

Niech radość piękna i wzniosła
w sercu każdym zagości
i niech nas złączy stuła
bijąca ogniem — miłości...

Jan Feliks Płóciennik.

DOBRE RADY PANI ZOFII

ZAWITAŁ NOWY ROK!

Już północ — zawitał rok nowy,
Brzęczą szkła i złoci się wino,
Słowa życzeń padają i... giną,
Puka w szybę — pierwszy dzień styczniowy.

Może jutro spełnią się życzenia,
Ktoś tajemnie nić szczęścia uprzędzie,
Może spokój zapanuje wszędzie,
Znikną może bolesne cierpienia...

Więc niech wino się leje obficie,
Niech się tłuką na szczęście puhary,
Bo już minął nieszczęsny rok stary,
A ten „Nowy" — da nam inne życie...

Irena Maria Wójcikowska.

PAMIĘTAJ I PISZ!

„Wesoła Różyczka". O, to trudno pokochać taką małą brzydulę, co tak rzadko pisze, — przecież można w międzyczasie zapomnieć, że ona w ogóle istnieje. Czy nie przyznajesz mi racji? No, ale pocieszę Cię, że pamiętam i lubię Cię bardzo! Wszelako pamiętaj i Ty i pisz.

„Leśna Jagódko" pozdrowienia, uściski i pocałunki. A może Ty pierwsza jednak napiszesz? Bardzo bym się cieszyła. Na razie pa! Czekam na znak od Ciebie.

„Kalino". Kto Cię zranił? Czemuś taka smutna? Napisz proszę, a rozweselę Cię na pewno. Teraz przyjm proszę wagon całusów oraz moje hasło: „Uszy do góry i uśmiechnij się!"

„Kazimierzu Junoszycu". Bardzo Ci dziękuję za listy, wiersze i w ogóle za wszystko, Zbyszku! Zapomnij!...

„Szyderco". Myślisz, że zlękłam się? Bynajmniej! Udajesz takiego srogiego i robisz odstraszającą minę, a ja i tak wiem, że jesteś wesołym i morowym chłopcem. Ślę Ci moc serdeczności!

„Jasiu — Sokole". Pozdrowienie odwzajemniam i życzę Ci, byś wreszcie znalazł to, czego szukasz i nie naraził się na nowe rozczarowanie. Pa!

„Maryszku"! Bądź zawsze takim wesołym i miłym jakim jesteś a będzie Ci w życiu dobrze i zaznasz dużo szczęścia. Zasyłam pozdrowienia.

Pozatem pozdrowienia i uśmiechy: „Nieznanemu", „Władowi", „Uranowi" i „Hr. Ulsenowi". Czy mogę prosić tych panów o liściki?

NIE OMIESZKAJ PODAĆ MI ADRES!

„Paddy incognito". Cieszy mnie niewymownie, że zżyłaś się tak bardzo z „Krainą" i że jest Ci w niej tak dobrze!

Jak tam z ową przeprowadzką? Nie omieszkaj podać mi swego adresu!

Wujkowi Januszowi przekazałam wierszyki i... serdeczności. Uśmiechnął się mile i prosił wzajemnie przesłać ukłony.

Życzę Ci dużo natchnienia i jasnych chwil w nowym roku, co kroczy już milowymi krokami — zaraz stanie przed nami i zajaśnieje ułudnym, mamiącym uśmiechem!...

CAŁĄ NOC

Zabłysły kiście świateł w salach,
Muskając roześmiane twarze.
Ludzie się bawią i każdy na balach —
Zagłusza troski życia w gwarze.

Muzyka gra najnowsze tanga,
Oszałamiając tańczące pary.
Lica pachną pudrem Czanga —
Serca łomocą w takt gitary.

Usta zbliżone, że czuć oddechy,
Tchnące czarem szampana.
W oczach się pieni żądza uciechy —
Szalonej jak miłość cygana.

Wreszcie sen czujny wypełza z cieni,
Biorąc w swe macki postacie.
Dzień się już zorzą w dali rumieni —
Skąpany w słońca szkarłacie.

Tadeusz Rawicki.

TO AKTUALNIEJSZE!

„Przybłęda Leśny". Zamieszczam to z Pana listu, co uważam za aktualniejsze — tamto już przebrzmiało i nie będę już do tego wracała. Panu winszuję dowcipu i oznajmiam o swej przychylności bez żadnych tam uraz!

Przeżyj Pan pięknie Święta i napisz nam o nich! Czekamy!

„— A wszystkiemu winne liczne polowania na „grubego i drobnego zwierza" (dziki i zające), które się ostatnio dość często odbywają. Nie udają się wprawdzie dla braku śniegu, lecz nie odstrasza to zapalonych myśliwych wśród których rej wodzi „Przybłęda Leśny" — wypatrując za lisem (na kołnierz dla „Kogoś"!...) Mądrala lisisko — nie „wypadnie" niestety na „siekierę" strzelca, omijając z dala jego linię i jakby drwiąco „wykrzykiwał": „Nie będziesz mnie miał na kołnierz"! Cóż więc robić — wywiera się tylko zemstę na biednych szarakach, które „rulują" pod ciosami celnego myśliwego. Zdarza się też czasem, że śrut bywa „krzywy", a wtenczas zajączek w „całości" kiwając „omykiem" zdziwionemu myśliwemu — mknie w głąb lasu. Bywały i inne wypadki, że „ubity" dzik — zrywał się nagle (z wozu) spośród braci „nieboszczyków" i wiał ile wlezie w głąb lasu, ku ogromnemu zdziwieniu stojących wokół wozu myśliwych, którzy nim „oprzytomnieli" dzik był już — za górami. — Takie to przygody zdarzają się często myśliwym! Inna rzecz, że przy „kieliszku" wyolbrzymia się je do takich, jak ten oto: Podsłuchałem jak jeden z kolegów opowiadał „zasłuchanemu" towarzystwu, że chwycił raz lisa i bił go tak długo kijem, aż ten wyskoczył ze skóry i zwiał do lasu, a skórę tą nosi po dziś dzień jego żona!. I proszę sobie wyobrazić, że nikt nie podniósł nawet protestu — tylko kiwał ze zdziwienia głową.

No, ale dość tego, rozgadałem się zupełnie na temat inny niż powinienem.

„Lola". Odwagi — proszę coś skrobnąć. Pa!

„Kropelko leśnej rosy"! Adres mój: C. C. — N. P. N. n. N. a więc nie mieszkam w P. Napisz liścik — odpowiedź murowana! Darz-Bór!

„Smutna Iwonka II". Czy się znamy? — wątpię! Jeśli mieszkasz w N. — to tak. Pragnąłbym poznać entuzjastkę borusów! Darz-Bór!

„Farida" — raczej marzycielem.

„Wandzia z B." — CZ. C. z N. — to ja! Naprawdę biję się po „łepetynce" i nie wiem ktoś Ty! Rozwiąż jak najprędzej tajemnicę! Gniewu nie mam, ani odrobiny — zgoda? Ściskam „łapkę"!

„Elka i Melka". Miło było by mi poznać „Krainianki", które spędziły swój urlop w Worochcie! Napiszcie — Kochane! Odpowiedź — „żel-beton"! Załączam wyrazy sympatii i „góralskie tango". Pa!

P. „M. D." — dziękuję za list. Proszę wybaczyć milczenie — odrobinę cierpliwości! Ściskam dłoń.

„Stello" — odwagi — napisz — czekam!

„Mała Jean - Sokolica". Uścisk dłoni odwzajemniam i czekam liściku. Pa!

„Biedna Psyche". — W Bojanowie będę na Gwiazdkę! Może poznamy się bliżej? — czekam!

„Sportsmence z Kujaw", „Zbijobrukowi poznańskiemu", „Senoricie", „Szatynce z Gdańska 18", „Wirtuozce", „Steni K. z R.", i „Migueli" serdeczne pozdrowienia z prośbą o liściki!

Dla wszystkich „Krainianek" i „Krainiaków" — Dosiego Roku!!!

KOLĘDA SERCA...

Przed kim głębię mego serca...
— otworzę...
jak przed Tobą tylko — o, Boże!
Kiedy piosnki kolęd popłyną —
kolędować będę
Dziecinie...

Dom mój cały
napełniony słowem Bożym...
przed Nim głębię mego serca
— otworzę...

Będą gwiazdy płonąć na niebie,
w noc zimową tylko dla Ciebie!...
Aniołowie w odświętnych sukienkach...
czuwać będą... — nad Najświętszą Panienką
— i nie będzie łez ani smutku,
— śnieżne kwiaty zakwitną w ogródku...
—, i nie będzie zmartwień... ani żalu...
noc za śnieżną skryje się oddalą —

Przyjdę wtedy Tobie się pokłonić,
ani jednej łzy nie uronię...
wszystkie bowiem w mym sercu
ukryję...
nienazwane łzy nasze
— i niczyje...

I rozśpiewam się kolędą
w zmierzchu sinym —
dla Ciebie...
maleńka Dziecino!...

Józef Baranowski.

POLUBIŁ PAN WOŁYŃ

„Wołyniak". Dziękuję Panu za pozdrowienia z Wołynia. Musiał Pan polubić Wołyń, skoro sprawiłeś sobie nawet miejscowy regionalny strój, a trzeba zaznaczyć, że dobrze wyglądasz w tych bogatych wołyńskich haftach! Zdjęcie dałam w „Krainie" — widziałeś je zapewne.

Życzę Ci dużo pomyślności w Nowym Roku i przechodzę do komunikatów:

„Bardzo dziękuję za ładne liściki „Maruszce" ze Zbąszynia, „Ninettce" z Bydgoszczy, nieznanej z pseuda P. Wici z Gromadna.

Naprawdę bardzo miło jest otrzymywać listy tak szczere, od osób w ogóle nieznanych. Serdecznie dziękuję!

„Ryśko D." nie przejmuj się, a wszystko będzie dobrze! Jeśli wszyscy, to Twój przyjaciel nigdy nie zawiedzie! Na pewno znasz jego s...... za dobrze prawda?

Pozostałym „Krainiakom" i „Krainiankom" przesyłam gorące uściski!"

ZAINTERESOWANYM

poświ[illegible]m!

I znowu dla mnie pozdrowienia
Znów gdzieś z oddali wieści
I wciąż je czytam bez wytchnienia,
W „Krainie“ z „Moich Powieści“!
A kiedy siadam już do biurka,
By odwzajemnić życzenia —
Znowu się znajdzie nowa „figurka“,
Co śle mi pozdrowienia.
Więc rośnie liczba „Krainianek“
Komunikatów — aż się roi,
A ja lękliwy — jak baranek,
Co wysłać ich się boi!
Bo Panna Zofia zawsze sroga,
Na liczne komunikaty,
Najprostsza u Niej jedna droga
„Rozłożyć je na raty“!
A więc liściki leżą sobie
I odpowiedzi z nimi —
(Nie wiem, czy dobrze tak to robię?
Osądzcie to z innymi).
Lecz dziś, gdy święta się zbliżają
Trudno wytrzymać milczenie,
Wszyscy różności sobie przesyłają,
A ja dorzucę życzenie!:
Niech „Krainiankom“, które pamiętały,
O moim istnieniu wśród lasu —
Ziszczą się wszystkie marzenia, co miały
Spełnić się do tego czasu!
I niech „Mikołaj“ o Nich pamięta
I coś przyniesie w ofierze,
By każda miała wesołe święta,
Zwłaszcza, gdy „cacko“ odbierze!

„Przybłęda Leśny“.

REWIA FOTEK W „KRAINIE“

Ze stronnic „Krainy“ patrzą ku nam oczy,
to radości pełne, to znów zadumane.
Czarują „Krainianek“ buźki urocze —
krzewią radość życia — usta roześmiane.
Pierwsza tęskne oczy uśmiechem okrasza,
przemiła „Dziewczynka z zaklętego młyna“.
Wszem, wobec — każdemu swą fotkę ogłasza,
że „rewia fotek w „Krainie“ się zaczyna.“
A więc pełnym gazem „wjeżdża“ „Pell“ na scenę,
sceptycznie zaś patrzy na to „Podchorąży“,
A młoda „Żymełka“ ma malutką tremę —
myśląc, czy ktoś przyjaźń listowną nawiąże.
Wielce urodziwy jest nasz „Chochlik“ mały,
który w parze idzie z „Sympatycznym Hebim“.
Jan Feliks Płóciennik — nasz poeta śmiały —
odpoczywa z Ritą hen, pod morskim niebem.
„Złoty jaśmin“ patrzy dziwnie prosto w oczy —
„Wiejskie dziewczę“ w bezkres znów rzuca spoj-
[nie.
Coś ich z „Wołyniakiem“ wspólnego jednoczy,
może strój ludowy robi to wrażenie?
„Bella Donna“ z „Izią“ szczerze roześmiane,
jak urok, rzuciły beztroskę w „Krainę“.
Mimo to „Trubadur“ ma lico stroskane. —
i w ogóle czegoś nieszczęśliwą minę!..
Lecz co to? „Japonka“. Piękna, wschodnia dama!
Nieprawda — to nasza kochana „Jasieńka“
w „Krainie“ pod nazwą „Uśmiechniętej“ znana,
w kimono się tylko przebrała maleńka.
I coraz to inne wyzierają twarze —
bo nasza „Rodzina“ wciąż ma nowe dzieci,
ale wszystkie zgodnie miłością swą darzy —
w życie dziatwy swojej nić przyjaźni wplata.

„Kalina“.

GDZIE JESTEŚ?

„Samotna Włościanka“. Co u Ciebie nowego, Dziewczynko, gdzie jesteś obecnie? Nie masz co się spieszyć z życzeniami, Dziecino, to nie polega na prawdzie. Źle Cię poinformowano.

Życzę Ci samych uśmiechów na nowy rok i przechodzę do komunikatów:

„Aneczko“ i „Nel z Bydgoszczy!“ Pragnę nawiązać z Wami korespondencję i poznać Was osobiście.

„Złote Słoneczko!“ Co z Tobą? Nie mogę się doczekać przyobiecanego listu.

„Zofię z Gr.“, „Feli“, „Żymełkę“ i wszystkie Panie, z którymi koresponduję, pozdrawiam serdecznie!

„Wesoły Broneczek“ — pozdrawiam Pana i Jego Siostrę.

„Bolance“ serd. dziękuję za wierszyk, dedykowany mnie i życzę dużo radości!

Alfonsie! Pozdrawiam — napisz mi wszystko! Całej „Krainie“ serdeczności!“.

NIE MAM ŻALU!

„Panienka z warkoczami“. Przyjmuję Cię, Dziewczynko, do naszego grona z miłym życzeniem, abyś czuła się w nim jak najbardziej swojo!

Nie mam żalu, (a myślę, że i Wujek Janusz również do Ciebie, iż nie czujesz w [illegible] przeciwnie, uważam, że i bez tych właśnie „poważności“ jesteś ogromnie miła.

Pozdrawiam Cię i czekam na nową wiadomość!

„Halo, halo! „Pell“ — znam Pana z widzenia i mam wrażenie, że Pan mnie również.

„Uśmiech Szatana“. — Nie znam Pani, lecz już pokochałam!

„Amerykanin“. — Pan musi być strasznie miły. Proszę o kilka słów. Pa!“

NIEWIDOMI...

Idzie...
Na bladej twarzy uśmiech łagodny cierpliwy —
Ręce podane naprzód czujne i widzące...
Ręce — w których życie niesie...
Ręce uważne — skupione, albo śmiałe i żywe,
Biegnące naprzód, jak dwa gońce —
W szlak znany — lub niewiadomy.
Ręce prowadzą — a twarz uśmiecha się —
To niewidomy...

Żyje...
Cieszy się życiem choć pod czarnym kloszem
Stanęło przy nim — pojęte dotykiem
„Widzących“ dłoni... tych dłoni —
Co umieją szczotki nawlekać, pleść kosze.
Co duszę kładą w muzykę —
Są śmiałe w walce świadomej
I chociaż Bóg świat przesłonił,
Mężnym jest niewidomy!

Czy znasz ten świat zawarty pod martwą powieką,
Te rozpacze i bóle, skąpane w uśmiechu,
Tę czarność dni codziennych — tak skąpych
[w pociechy,
Co się utartym szlakiem obok niego wloką?...
Tę czujność rąk, co widzą, co czują, co chłoną,
Ten uśmiech rezygnacji — prześwietlony wiarą,
To życie wypalone — wyrzeczeń ofiarą —
Te łzy niewypłakane, pod czarną zasłoną?...

Czuwa...
Nad każdym krokiem — do pustki podanym —
Chwyta głosy i dźwięki głęboko przeżywa...
I żyje co dzień na szlaku wytkniętym.
Znajome rękom — przedmioty i ściany,
A intuicji — droga — zakręt — domy —
I co dzień jest uśmiechnięty,
Chociaż — niewidomy...

Eugeniusz Kłosowski.

ŻYCZĘ CI DUŻO RADOŚCI!

„Armeńczyk“. Zadowolona jestem, że „Moje Powieści“ podobają Ci się tak bardzo. A myślę, że stale będą się jeszcze podnosić!

Życzę Ci dużo radości na rok cały i przechodzę do Twoich przelicznych komunikatów:

„Gwiazdeczko“ — czy można Cię odwiedzić w Warszawie? Przyślij, proszę, Twój adres! Prawdopodobnie w przyszłym roku spotkamy się na studiach w stolicy...

„Taddy“. Pozdrawiam. Powiększa Pan grono „Krainiaków“ w Warszawie. Może za moim pobytem w Warszawie, zrobilibyśmy przegląd tamtejszej „Krainki“?

„Stella“ — Czy możemy zobaczyć się w Poznaniu i wspólnie coś napisać do „Krainy“?

„Zapomniana Sylena“. Pozdrawiam! Chcę Pani dodać odwagi. Sam przeszedłem w życiu ciężkie chwile. Byłem 2 lata bez pracy i odważnie stawiałem czoła wszystkim trudnościom, szukając wytrwale i cierpliwie pracy i znalazłem wśród ogłoszeń. Droga Syleno! Odwagi i cierpliwości. Silna wiara w coś, co pragniemy, przybliża dzień za dniem chwilę zdobycia celu. Nie upadaj, na duchu! Przeglądaj pisma, a znajdziesz i musisz znaleźć pracę!

„Pady incognito“ — może spotkamy się w Gdyni wiosną?

„Carmen“ i „Senoritę“ pozdrawiam. Posiadacie na pewno południowy temperament. O ile się nie mylę, każde imię jest wyrazicielem charakteru ludzkiego.

„Obserwator I“ w Gdyni. Pozdrawiam i proszę o adres.

„Ismail“ pisze o sobie tak mało, że trudno sobie wyobrazić tę osóbkę. Czy to pseudonim męski, czy żeński?

„Chochlika“ — udało mi się ujrzeć z fotografii. Miłe pozdrawiam „Krainiankę“ o tak sympatycznym spojrzeniu, które zdaje się nieść promienie radości i szczęścia wszystkim, czytającym „Moje Powieści“.

Drodzy „Krainiacy“ — napiszcie do mnie kilka słów na łamach „M. P.“ Przesyłam wszystkim przyjacielskie pozdrowienia“.

POZDROWIENIE

Przez krzyż — do Nieba — i ciepłe spojrzenie
Przez krzyż — do Nieba! — poda pozdrowienie.
Co dziwne w myśli obrazy kojarzy.
Miękko przebiega po skupionej twarzy...

Przez krzyż — do Nieba — szmer ust rozmo-
[dłonych
Zbliża na chwilę, a później oddala —
A twarz — pogody tchnie wyrazem:
Niech smutek nie skazi jej cieniem...
Bo w tobie dobroć i piękno razem...

Eugeniusz Kłosowski.

DLACZEGO?

„Kochane Dziewczątko“. Mam przed sobą trzy Twoje listy, Kochana, i myślę, że po przeglądnięciu dzisiejszej „Krainy“ nie odłożysz jej zniechęcona tym, że dla Ciebie nie ma znowu odpowiedzi.

Dlaczego mam tak niezmiernie żarliwie apelować w Twej sprawie do „Krainiaków“, czyż naprawdę nie znalazłaś w całej dużej „Rodzince“ nikogo, z kim mogłabyś sobie porozmawiać miło i szczerze? Aż mi się to wierzyć nie chce!

Mam więc w Twoim imieniu poprosić „Te-Em'a“, „Przybłędę Leśnego“, „Młodego Orła“, „Królewicza z bajki“, „Romka“ i „En-ka“ o pamięć? No, myślę, że oni nie pozwolą się prosić.

Z nowych a dobrych książek mogę Ci polecić „Marię Curie“, napisaną przez córkę naszej sławnej rodaczki, p. Ewę Curie, dalej „Krzyż na piaskach“ — Agnieszki Osieckiej. Dobre są również książki Zygmunta Nowakowskiego, Janusza Meissnera, Zygmunta Kisielewskiego, Marii Dąbrowskiej, Gojawiczyńskiej, Kornela Makuszyńskiego, Gustawa Morcinka. Z obcych Selmy Lagerlöf, Pearl Buck, Gabriela Réval i inne.

Życzę Ci dużo szczęścia w Nowym Roku i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Serdeczcne pozdrowienia z prośbą o pamięć zasyłam: M. Grzegorzewskiemu, „Erosowi“, „En-ka“ (który niech się dowie, że jesteśmy starymi znajomymi), Tadeuszowi Multańskiemu, „Romkowi“, „Władowi“, „Zabłąkanemu Chłopcu“ i Zbigniewowi Wicherkowi (znamy się!).

ŚNIEŻNA BAJKA

Wiatr oczyma patrzy złymi —
czy to bajka z nieba pada
i gwiazdkami srebrzystymi
na gałązkach drzew osiada?!
A świat cały otulony
w jakieś gazy i welony,
pod stopami biel się ściele,
czyjeż dzisiaj to wesele?!
Puch na ziemi i na drzewach...
patrzy — duma — wiatr w bezruchu,
skądże znowu tyle pierza,
skądże tyle z nieba puchu? — —
Po tym kroki cichutkimi...
psotnik się pod drzewa skrada,
mówcież, co dziś jest na ziemi,
czy to bajka z nieba pada?!
Ejże... bo wam zmącę ciszę...
grozi śmiało psotnik mały
i gałązki drzew kołysze,
aż z nich opadł śniężek biały...

„Czarodziejka“.

POWIEDZ!...

„Sztubak spod lasu“. Powiedz mi, gdzie wybierzesz się na wakacje w roku 39? Sądzę, że teraz pójdziesz „zdobywać“ inne tereny — czyż nie tak?

Życzę Ci dużo radości w Nowym Roku i zamieszczam komunikaty:

„Słodka Dary“! — Skąd mnie znasz? Napisz do „Krainy“ początkową literę mego imienia lub nazwiska, a dopiero uwierzę, bo i ja może Ciebie znam. Dobrze? Miłe pozdrawiam i... „Czuwaj!“

„Krzysia — leśniczanka“ — dziękuję za pozdrowienia i przesyłam wzajemne. Czy Pani mieszka gdzieś na Pomorzu? Bo i ja jestem Pomorzaninem.

„Dziewczę z ludu?“ — czemu nie odpisujesz? Proszę o odpowiedź!“

LUBIĘ TWOJĄ WERWĘ!

„Cwaniara“. I ja chcę, abyś już zupełnie czuła się szczęśliwą i dlatego to z wielką przyjemnością przyjmuję Cię do „Krainy“. Nie sprawiłam Ci zatem zawodu nieprzyjęciem, jeżeli co, to jedynie to mogło Cię zasmucić,

iż długo czekałaś na odpowiedź. Ale wierz mi, że nie Ty sama!

Tak samo, że podobasz się wszystkim swoim znajomym, bo masz ogromny zapas humoru i młodzieńczej werwy. Bądź mi i w „Krainie“ tak buńczucznie młodą — lubię werwę u młodzieży!

Bywaj mi i pisz!

„Halo! Może napisze do mnie „Zawierucha“? Chętnie prowadziłabym korespondencję z „Senoritą“, bo ja pracuję w podobnych warunkamch.

Zainteresował mnie „Pell“. Uwagę moją zwrócił „Amerykanin“, podobał mi się jego liścik, umieszczony w „Kraince“.

Wszystkim członkiniom i członkom „Krainki“ ślę moc pozdrowień, miły uśmiech i słodkie pa!“

ZIMA

Zagasła już dżdżysta jesień
w kleszczach pierwszego mrozu,
jeno wiatr pląta się jeszcze
w przydrożnych brzozach...

Jeno mgła sina w przedświcie
mówi nam o jesieni —
choć gwiazdy na niebie wróżą,
że wnet się wszystko odmieni...

Że niezadługo nadejdzie,
hen, poprzez pola śnieżne —
okryta płaszczem zadumy —
cisza bezbrzeżna...

Że już niedługo zabrzęczą
dzwoneczki melodią bezsłowną —
łącząc się z dniem akordem
pełnym bajki czarownej...

O, jak znów będzie cudownie,
(wizje mam przed oczyma)
gdy nas spowije zadumą —
Zima...

Jan Feliks Płóciennik.

WEŹ SOBIE DO SERCA MÓJ NIEPOKÓJ

„Taki jeden“. Coś mi minorowo śpiewa list Twój ostatni. Drogi Przyjacielu, a co gorsza, nie mam od dłuższego czasu żadnej od Ciebie wiadomości! Co się stało — zechciej mi to uprzejmie wyjaśnić. Smyku jeden, a toż ani się domyślasz, jak niecierpliwie oczekuję choć kilku słów od Ciebie!

Czy zamarzłeś lub jaka inna bieda Cię napadła, że milczysz tak tajemniczo i nieznośnie? Weź sobie do serca mój niepokój i skrobnij co rychlej taki Twój przemiły list, w którym jest sporo przekomarzań, a jeszcze więcej złotego serca. Koniecznie napisz, aby spadł mi ciężar niepokoju z serca.

Nie mam nikogo w Jr.

A wiesz Ty, co mnie ogromnie ucieszyło? Otóż to, że śledzisz tak pilnie wszystkie moje prace — u mężczyzny w dwójnasób wzrusza taka niby mała rzecz, jednak tak wielka, gdy się weźmie pod uwagę uczucie życzliwej przyjaźni, która jest tu motorem.

Przy opłatku wigilijnym myślałam o Tobie, Przyjacielu, jak i o wielu moich bliskich z „Krainy“, bardzo serdecznie i w daleką przestrzeń rzucałam Wam życzenia dobre i tkliwe.

A teraz przysyłam Ci uśmiech tak jasny, żeby opromienił Cię życzliwością osoby obcej lecz przyjaznej, zbliżający się Rok Nowy!

NOWY ROK 1939

Bo chciałabym wiedzieć, co czeka mnie? —
Już Nowy Rok zaczął się,
I serce niepewnie bije
Czy szczęśliwie go przeżyję?

Czy dużo na mnie czeka burz,
Czy zorza się uśmiechnie mi?
Czy zrani — czy szczęście da ktoś —
I zwycięży uśmiech, czy łzy?

„Echo Wsi“.

ŻYCZĘ POMYŚLNOŚCI W NOWYM ROKU!

P. J. Baranowski. Odpowiadam na dwa P. listy. Więc przede wszystkim dziękuję serdecznie za złożone mi życzenia świąteczne i wzajemnie życzę pomyślności w Nowym Roku!

Sprawę wierszy załatwiłam, lecz nie dało się to tak szybko załatwić, jak Pan tego pragnął.

Zgadzam się z Panem, co do nieodpowiedzialności wierszy niektórych adeptów sztuki rymowania, lecz z drugiej strony przekonałam się, iż z czasem wierszyki tychże rymotwórców stają się wcale udatne, zwłaszcza, gdy przygodni autorzy wierzą niezachwianie w swą „iskrę“.

Pragnę wyjaśnić Panu, że owo porównanie miało brzmieć ogarek, chochlik drukarski spłatał autorowi nieprzyjemnego psikusa.

Pani Z. wyjechała już w jesieni i jest zadowolona z losu, który stał się jej udziałem.

Otóż i omówiłam pokrótce najważniejsze sprawy — teraz jeszcze raz powtarzam serdeczne słowa życzeń noworocznych.

SŁOŃCE

Słonku „Krainy“
— Pani Zofii poświęcam.

Źródło ludzkiej radości, jasne słońce boże,
Zawieszone w błękitach jako cud natury,
Codziennie święcą ziemi twoje złote zorze
I codziennie zachodzisz za te same góry.

Nigdy nie zmieniasz drogi w obranej kolei,
Wyższym tknięte nakazem, od wieków niezmiennym,
Niesiesz w promiennych blaskach promyki nadziei
Tym wszystkim, którzy w mroku pozostają — ciemnym.

Motorze życia ziemi słonecznej od ciebie,
Która w twoich promieniach rodzi chleb powszedni,
I Boga każe szukać na dalekim niebie?
Bez ciebie, jakże bylibyśmy biedni!
Życie niesiesz nam wszystkim, jak matki pieszczota,
Rośniemy, jak na polach pełne ziarna kłosy.
Iskierki w naszych sercach z Twojego są złota
I bliższe dla nas wówczas stają się Niebiosy.

Słońce! Siła promienna! Kroczyć twoim śladem
To wyznaczona dla nas jest droga jedyna!
O słońce! więcej rzuć blasków na oblicza blade,
Zapal nad smutną ich dolą lampę Alladyna!

„To — ja“.

ŻYCZENIA I KOMUNIKATY

„Zuch — dziewczyna“. Przesyłam Ci, Kochana, najserdeczniejsze życzenia noworoczne i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Bajka“, „Przedwiośnie“, „Biała Uajali“, „Maruta“, „Carmen“, „Mała Konwalijka“, „Laza“ i „Kropelka Leśnej Rosy“ — przesyłam Wam, Moje Złote, moc życzeń z okazji świąt najradośniejszych w całym roku!

Marylka J., Lusieńka Ł. — Moje Najdroższe — przesyłam Wam jasne i promienne uśmiechy!

„Złoteńko“ — Dlaczego nie wstąpiłaś drugi raz? Przecież bardzo Cię polubiłam i... czekałam!

„Miła Zapałeczka“ i „Księżniczka Henrietka“! My jesteśmy razem, może nawet osobiście złożymy sobie życzenia?

„Wołyniak“. Julku, jako „Krainianka“ przesyłam Ci serdeczne życzenia i mocny uścisk dłoni — czy przyjmiesz?

„Młody Orzeł“. Zdaje się, że znam Pana i na dowód podaję pierwsze litery im. i nazw. M. L. Obecnie jest Pan podobno w Toruniu, a był Pan niedawno w Masłowie. Teraz jest Pan razem z p. gen. Bortnowskim — czyż tak? Dużo wiem, dużo, ale kto ja jestem? Tyle jeszcze powiem, że i ja będę mogła także!!! Miłe pozdrowienia łączę!

Dla „Erosa“, „Przybłędy Leśnego“ i „Takiego Jednego“ oraz wszystkich „Krainiaków“ — pozdrowienia!“

DUŻO RADOŚCI PRZEZ ROK CAŁY!

Kazimierz Janoszyc. Odpowiadam na dwa Pana listy. Więc przede wszystkim podaję, że sprawę wiadomych Ci numerów załatwiła nasza administracja. Na okładce nr. 19, była postać, jak to Pan określił, „utopijna“.

Nie, nie byłam w tym roku w W-wie, przejeżdżałam przez nią tylko w drodze do miejscowości, w której spędziłam urlop.

Życzę Panu dużo radości przez okrągły rok i zamieszczam komunikaty:

„Dziewczynce z zaczarowanego młyna“ i „Wesołej Różyczce“ moje najserdeczniejsze pozdrowienia!

„Duży Dzieciak spod lasu“ — odwzajemniam Pani serdecznym pa... i donoszę, że jestem w Warszawie.

„Biedna Psyche“. Serdeczne pozdrowienia.

„Wrzos“. Serdecznie dziękuję za uznanie nad moimi wierszami, oraz wszystkim „Krainiakom“ miłe pozdrowienia!“



WYDRUKOWAŁEM!

„Bronek“. Wydrukowałem ten przesmutny Pana wierszyk wigilijny, ale nasuwa mi się przykra myśl, skąd nabrałeś Pan natchnienia do tak przejmujących smutkiem i zaprawionych goryczą niezaspokojonego serca — strof? Czy aby nie popłynęły one pod impulsem własnych bolesnych przeżyć? Za nic nie chciałbym, aby tak było, za nic w świecie.

Myśl moja serdeczna będzie przy Panu w dzień Wigilii, a dziś ślę życzenia najtkliwsze!

I TY PRZECIWKO MNIE?...

„Szara Fala“. „I Ty, Brutusie, przeciwko mnie?...“ oto słowa, które wyrwały mi się odruchowo, po przeczytaniu poniższych zdań P.:

„Nieraz myślę, co robi nasz ulubiony, stary Wujcio. W mojej wyobraźni widzę „Go zawsze posiwiałego i z „okrągłym brzuchem“.

O, Bogowie! Czyż wujcio musi być koniecznie „stary“, „siwy“ i uginać się pod „pękatym brzuszkiem“? Czyż wujcio nie może być młodym? Ależ! — zastanów się, „Szara Falo“! I przypomnij sobie takie wypadki, gdzie wujcio jest młodszy od swej siostrzenicy, czy siostrzeńca nie tylko wyglądem, ale i latami. A gdy to uczynisz — na pewno pomyślisz o mnie lepiej!

A teraz kwestia nadesłanych wierszy: otóż wybrałem do druku tylko jeden z nich — „Choć wszystko mam“... Reszta posiada niedociągnięcia i poza tym w bieżącej chwili jest już nieaktualna. Czekam zatem na nowy transport utworków, ściskam serdecznie łapięta!

PRZYJMUJĘ!

„Leśna Konwalia“. Przyjmuję Panią do grona członków mojej „Teczki“ i życzę, abyś w niej zajęła miejsce poczesne.

Na razie przesyłam życzenia szczęśliwego Nowego Roku!

MOJA JODEŁKA

Jakże piękne jest to moje drzewko...
Pachnie lasem, przestrzenią, swobodą.
Takie różne przywodzi wspomnienia,
Opowiada, że rosło nad wodą,
Przeglądało się w nurtach potoku,
Który szemrał mu swoje legendy,
Kołysało się w takt halnych wichrów
Szeptało: Już tam nigdy nie będę,
Już nie ujrzę rodzinnych swych lasów
Już nie śpi mię potok, ni rzeka,
Już mnie wicher nie będzie kołysał
Umrę tutaj samotna daleka —

„Leśna Konwalia“.

WIERSZYK UKAZAŁ SIĘ W DRUKU

„Bronek“. Wierszyk Pana pt. „Wigilia samotnika“ ukazał się już w druku. Drugi mniej dobry, ale dla zachęty daję go poniżej.

Sprawę administracyjną załatwiłem.

Życzę Panu Wesołego Nowego Roku!

ZIMA

Na dworze śpią śniegu białe płaty
(A ja cię widzę strojną w złote szaty).

W domu na szybach widzę kwiaty lśniące
(A ja za twój uśmiech dałbym tysiące.)

Wszystko na dworze dzisiaj w mrozie tonie
(A ja bym całował twoje białe dłonie.)

Wiatr mroźny od wschodu szaleje co nocy
(A ja wciąż widzę twoje duże oczy.)

Zima odejdzie w swej dziwnej zadumie
(A serce twoje mego nie rozumie.)

„Bronek“.

NOWELKA WPŁYNĘŁA ZA PÓŹNO!

„Zabłąkany Chłopiec". Wierszyk Pana, po poprawce daję do druku. Nie jest on bez zarzutu, lecz przemówił mi do uczucia oryginalny jego temat. Nowela niezła, ale nadesłałeś ją Pan za późno, aby można jeszcze przedrukować w numerze gwiazdkowym. Jeżeli nie zażądasz zwrotu, schowam ją do teczki do wykorzystania w roku przyszłym.

Życzę Panu wszelakiej pomyślności i oznajmiam, iż cieszę się na zapowiedzianą wizytę.

ŚNIEŻYNKA

Helenie C. z J. wierszyk ten poświęcam.

W bezkresach światła, w przestrzeni
Słonecznych promieni smug,
Pod chmur zwaliskiem jesieni
Zbłąkana śnieżynka upada z nóg.

Zmęczona jest długą wędrówką,
Ciągłością chybotań i ciężkich dróg.
Opuszcza niżej schyloną główkę,
Chcąc znaleźć ziemski przyjazny próg.

Lękliwie więc zniża swój zwiewny lot,
Otula się szczelniej świetlaną mgłą.
Z zamkniętą duszyczką w tęczowy splot
Ląduje na ziemię, nieznaną i złą.

Zdziwiona patrzyła na ludzi,
Nie znając ich celów i dusz,
Lecz może w nich przyjaźń wzbudzi,
Miłości strzęp, miast pustki głusz.

Samotność jest trudna i twarda
I ciężko śnieżynce z nią żyć.
Złożyć swe serce im pragnie,
Chce godną przyjaźni ich być.

Lecz ludzie ze zgrozą spojrzeli
W dostojną biel śnieżynki szat,
W zawiści przyziemnej zdrętwieli,
Przeklęli ją, bo zmienia ład.

I wszystkim co brudne, nieczyste
Rzucili w śnieżynkę — kwiat,
Zbrukali w niej to, co przejrzyste,
Zabili w niej wiarę w świat.

Została śnieżynka zbolała,
Nieczuła na radość i śmiech,
Jej serce i dusza zdrętwiała,
Spogląda ze smutkiem w zmierzch.

I cicha łza spływa powoli
Z pobladłych, niewinnych lic.
Łza bólu, nieszczęścia, niedoli,
Gdy w duszy zostało złowrogie „nic".

Więc porzuć złych ludzi, śnieżynko,
Uciekaj, w słoneczną dal
Ku słońcu nad chmury, nad wszystko,
Do szczęścia świetlanych fal.

CZY O KOSZU REDAKCYJNYM NALEŻY MYŚLEĆ ŹLE?

„Halina". „Czyż wrzucenie wierszy do kosza nie jest uśmierceniem ambicyj młodego poety?... Bez wątpienia, że tak! I tylko dzięki temu radykalnemu sposobowi — dużo młodych ludzi zawracam z drogi niepowołanej, a innych — tych zdolniejszych, obdarzonych iskrą Bożą — wyprowadzam z zawiłych, ciemnych ścieżek na prostą, jasną drogę. Rozumie więc Pani teraz doskonale, że na pozór tak mało ważne narzędzie, ot, taki sobie zwykły i nieraz mocno wystrzępiony kosz, oddaje wielkie usługi literaturze. Czyż więc można myśleć o nim źle?

Przechodzę jednak do sprawy najważniejszej — wierszy Pani — hm... jestem w kłopocie! Nie chciałbym bowiem powiedzieć o nich, że są doskonałe, gdyż to mogłoby młody talent osłabić (wiem o tym z bogatego doświadczenia!), z drugiej zaś strony nie chciałbym powiedzieć, że są jeszcze niewyrobione, bo byłbym niesprawiedliwym sędzią... Najlepiej wybiorę złoty środek, t. zn. powiem o nich krótko, że wydrukuję je i jak najchętniej oddam do druku i inne utwory Pani, w rodzaju nadesłanych.

Czy zadowolona Pani? Jeżeli tak — proszę przyjąć ode mnie miły uścisk dłoni i jak najlepsze życzenia świąteczne.

I jeszcze post scriptum: polecenie, dotyczące p. Zofii, wykonałem!

KULIG

Pędzą sanie
gdzieś przez góry,
brzmi muzyka
ponad chmury.

Płaty śniegu
tulą ziemię,
piszczą flety,
mruczą basy,
brzmią pod niebo
obertasy!

Hen mkną sanie,
dźwięczą dzwonki
w nocy głuchej —
a muzyka
rżnie od ucha.

I rozbrzmiewa
śmiech radośnie,
pędzą wszyscy.
Zapomnieli
już o wiośnie!

Tadeusz Maria Mański.

DWA WIERSZE DO DRUKU

„Ilar IV". Mam tu dwa Pana wiersze pt. „Na morzu" i „Wspomnienie lata" — oba zaklasyfikowałem do druku.

Życzę Panu dużo radości w nowym roku i... dużo natchnienia!

NA MORZU...

Krwawo zachodzi słońce
Nad szlakiem morskich wód,
Bałwany z rykiem biją
W stalowy statku spód...

Już kadłub głucho trzeszczy,
Fala się wdziera w głąb —
Wśród szumu zabrzmiał rozkaz:
„Dzieci... co żywo... do pomp!..

Zawrzała ciężka praca
O życie toczy się bój —
Morze niechętnie i gniewnie
Oddaje żywy łup swój...

Wtem wicher zawył dziko,
W toń runął maszt i reje.
Pobladły majtków twarze —
Los zabrał im nadzieję...

Wściekłością otchłań dyszy
I tańczy jak zły bies.
Nad czarnych wód odmęty
W świat biegnie „S. O. S...!"

Godziny wolno płyną
Śmierć ponad statkiem krąży
...Czy tylko pomoc przyjdzie —
...Czy jeszcze na czas zdąży???...

Apolinary Żurawski.

WIERSZE „KALINY"

„Kalina". Przede mną leżą następujące wiersze Pani: „Szaruga jesienna", „Prolog jesieni", „Jad smutku", „Smutno mi", „Rozczarowanie", „Szary dzień", „Cudna jesień" i „Nocne zwidy". Otóż oba pierwsze wiersze, ze względu na ich nieaktualność, odłożyłem do teczki redakcyjnej, aby oddać je do druku w odpowiedniej chwili. Wiersze — „Jad smutku" i „Smutno mi" — zostaną wydrukowane w najbliższych numerach. Pozostałe wiersze likwiduję z powodu różnych usterek.

Mam również przed sobą nowelę Pani — „Wyprawa po złote runo". Ten utwór zostanie wydrukowany wkrótce.

Łączę tysiące życzliwych słów i proszę o dalszą pamięć!

JESTEM CI PRZYJACIELEM!

„Romek". Wierszyk Pana pt. „Czarne oczy" bardzo słaby, nie mogę go przyjąć do druku. Nie wolno w poezji wychodzić na łatwizny, bo to jest sztuka czysta i piękna, lecz niemniej trudna i odpowiedzialna. I jako taką należy ją traktować.

Proszę się nie przejmować moją surową oceną i wierzyć, że czynię to dla Pana dobra.

Posyłam Panu te życzliwe rady z myślą, że je zrozumiesz i ocenisz. Przyjaciółmi pozostaniemy nadal!

DZIĘKUJĘ!

„Szatynce z Podlasia" serdecznie dziękuję za życzenia gwiazdkowe i wzajemnie składam noworoczne!

Wierszyk Pani ocenię w jednym z najbliższych numerów. Proszę uzbroić się w cierpliwość!

CORAZ LEPIEJ!...

„Kalina". Wierszyk Twój pt. „Rewia fotek" w „Krainie" zaanektowała p. Zofia — podobał jej i już! Ten drugi pt. „Sen" ja już z urzędu zaklasyfikowałem do druku. Cieszy się Pani — prawda?

Życzę hucznego Sylwestra i czekam na nową przesyłkę!

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

„Irusia z Wołynia". Nadesłałaś mi bardzo aktualne wierszyki, dlatego też szybciej od innych ujrzysz je w druku. „Trzej królowie" pójdą w numerze drugim. Resztę wierszy ocenię później.

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i życzę Szczęśliwego Nowego Roku!

CHOĆ WSZYSTKO MAM...

Choć dziś już wiatr nie pomknie hen
Popieścić łanów zbóż
I mi przyniesie słodkich pień
Do chatki, do mnie tuż —

Mam jednak wciąż w swej duszy śpiew
I pełno cudnych zjaw...
Rozległość pól i zieleń drzew
I rozmodlony staw.

Mam cichy mrok wśród setek gwiazd,
Rozpłomienionych zórz,
Poranków srebrny słońca blask,
Aż po szafiry mórz.

Raduje mnie ma cicha wieś.
Ta mnogość polnych dróg!...
Mam w duszy śmiech i smutek też,
Który przeznacza Bóg.

Wszystkiego mam na ziemi dość,
(Przeróżnych tęsknot, szczęścia strat —)
Lecz jeszcze mi brakuje ktoś,
Kto droższy mi, niż cały świat!...

Waleska Kreftówna.

MOŻE INNE...

„Taka sobie Halina". Wierszyk Pani bez tytułu o jesieni za słaby jeszcze do druku, ale wierzę, że inne będą lepsze.

Pozdrawiam Panią serdecznie i oznajmiam, że chętnie przejrzę inne Jej prace.

KOMUNIKAT

„Jadwiga Limba". Komunikuję Pani, że wszystkie wiersze pójdą do druku, oprócz następujących: „Twoje oczy", „Spleen", „Przy kominku". Życzę dużo szczerego natchnienia i łączę przyjacielski uścisk dłoni!

PROSZĘ NADESŁAĆ...

„S. W." Utwór miejscami ogromnie miły, ale całość niezupełnie dojrzała do druku. Proszę nadesłać mi ten drugi wiersz, o którym wspomina Pani w liście. Serdecznie pozdrawiam i życzę nastrojowych, radosnych Świąt Bożego Narodzenia!

SZCZĘŚCIE

Szczęście — gdzie jesteś — tęczowe szczęście?...
— biegłam za Tobą, jak za motylem —
zraniłam stopy — skrwawiłam pięście.
— Tyś mi uciekła — za siódmą milę...

Szczęście — gdzie jesteś — złudne mamidło?
czy jesteś tylko bańką mydlaną?
— Tak mi to życie — bez celu — zbrzydło...
(Dzisiaj to samo — jutro to samo.)

Szczęście — czy Ciebie w swym życiu znajdę?
(szukam Cię teraz coraz to chciwiej).
— Ktoś mi plótł kiedyś — najsłodsze bajdy:
„będziemy razem — w życiu — szczęśliwi..."

Szczęście — gdzie jesteś — i gdzie Ty mieszkasz?
— na szklannej górze — w pałacu złotym?...
Po jakich chadzasz drogach, czy ścieżkach;
— czemu omijasz drogę sieroty?

Pani de Ronet westchnęła ciężko.

Dyrektor poskoczył znów do telefonu:

— Halo! Oddział śledczy policji —

Po chwili:

— Tu Lafettal... To pan, Robert? Natychmiast autem 5, rue Clotilde. — Czekam! Mieszkanie posła de Ronet — pierwsze piętro.

Powiesił słuchawkę.

— Robert — Robert — rzekł — to mój najzdolniejszy detektyw. Nie było jeszcze sprawy, której by nie rozwiązał. Proszę być spokojną... Czy mogę zapalić?

— Proszę...

Zapalił.

— Co jeszcze powiedział pani rzekomy poseł Vernon?

— Nic — odrzekła roztargniona. Drżała. Bała się.

— Nic, tylko zapewnienie rychłego powrotu pani męża?

— Tak — to znaczy nie. Jeszcze nalegał.

— Nalegał?

— Bym zawiadomiła —

Nadsłuchiwała.

— Kogo?

— Ktoś idzie po schodach!

Zerwała się.

— Czyżby już Robert?

Ktoś próbował włożyć klucz do zamku, ale mu się to niebardzo udawało.

Pani de Ronet była już przy drzwiach. Otwarła je.

Dyrektor policji, który wyszedł za nią, cofnął się zdziwiony.

— To ty! — wołała pani de Ronet przez łzy. — Jesteś! Żyjesz!

Poseł de Ronet uwalniał się z trudem z objęć małżonki.

— Jest tylko — rzekł poważnie i oparł się o ścianę — jeden triumf z długą, czarną brodą...

— Ależ on jest upity! — zawołała pani de Ronet.

Dyrektor podrapał się w łysinę.

— Upity... Zdaje mi się, że i on i Mareau i Vernon byli — może nie w „Café de la Paix" — dziwię się, że Vernon nie powiedział czegoś w tym guście, co teraz mąż pani. Widocznie tamci mają silniejsze głowy.

Poseł de Ronet wydostał się z płaszcza i przykołysał się do dyrektora.

— Co za durna mina! — parsknął śmiechem. — Co za mina!

— Pani zajmie się małżonkiem — rzekł chłodno dyrektor Lafettal — a ja na dole poczekam —

— Jestem.

W niedomkniętych drzwiach stanął młody, smukły, śniady mężczyzna.

— Chodźmy, Robert — rzekł dyrektor.

— Jakto? — zdziwił się detektyw, patrząc na posła, trzymającego się kurczowo ramugi drzwi i zrozpaczoną kobietę.

— Omyłka — rzekł dyrektor. — Nie porwanie, tylko upicie się.

— Nie!

Dyrektor spojrzał uważnie na swego najlepszego detektywa.

— Robert, czy pan się także wstawił?

— Dyrektorze! poseł de Ronet nie jest wstawiony — rzekł detektyw Robert-Robert, podchodząc do pani posłowej. — Pani pozwoli — Robert jestem — a pan, panie pośle, czemu nie podjechał pan pod sam dom tym pięknym autem Nr.4541-X-Z? Czy szofer z długą, czarną brodą był tak nieuprzejmy, że nie na własne pańskie



Z Nowym Rokiem nowe futro. Oto kilka fascynujących modeli paryskich.

żądanie wysadził pana w cieniu Panteonu — i to w cieniu jego tylnej ściany?

— Panteon ma czarną, długą brodę — rzekł poseł de Ronet — a ten — o — ma minę tak.

— Robert! — krzyknął dyrektor. — Chodźmy stąd! Opowie mi pan w aucie, co pan poseł, który nie jest pijany, robił pod tylną ścianą Panteonu!

ROZDZIAŁ V.

4541-X-2 i 1778-B-9

Zamknąwszy ze złością drzwi dyrektor usiłował znaleźć ich w okolicy guzik od światła.

Znalazł go Robert-Robert i nacisnął. Ale światło nie zajaśniało.

— Przed chwilą jeszcze świeciło się — rzekł dyrektor.

— Ja szedłem tu po ciemku — rzekł detektyw — nie zaświecałem światła. Widocznie popsuło się.

Dyrektor był zupełnie nie w humorze.

— Wielka filozofia: jeśli nie świeci się, to się oczywiście zepsuło!

Detektyw roześmiał się.

— Wyprowadził pana z równowagi Panteon z długą, czarną —

— Niech mi pan nie przypomina o tym opoju! — zgrzytnął dyrektor, schodząc powoli po ciemnych schodach.

— On przecież nie był pijany — rzekł Robert-Robert.

— Ha! — dyrektor zatrzymał się w ciemnościach. — Nie był pijany, tylko jest jeszcze pijany! To ci dowcip!

— Ani nie był, ani nie jest. Od człowieka pijanego czuć alkohol, choćby to był najlepszej marki szampan. Pozatem człowiek pijany wygląda zupełnie inaczej, niż wyglądał poseł de Ronet. Pozatem szofer z długą, czarną brodą, to do pewnego stopnia rzadkość w Paryżu. Pozatem —

— Więc pan twierdzi, że poseł nie był wstawiony?

Dyrektor posunął się o kilka schodów.

— Nie. On był dziwnie zamroczony. — Oczy jego zdradzały zażycie jakiegoś narkotyku.

— Coraz lepiej!

— Zażycie może być dobrowolne, lub przymusowe...

— Pan to serio bierze?

— Co?

— To uprowadzenie.

— Więc poseł został uprowadzony? Niech pan zauważy, dyrektorze, że ja nic nie wiem...

— Opowiem panu...

Opowiedział.

— Hm — mruknął detektyw — to ciekawe.

— Nie widzę w tym nic ciekawego — rzekł dyrektor, macając nogą początek drugiej części schodów.

— Owszem. To bardzo ciekawe. Przyznam się, że żałuję bardzo —

— Że pan tu przyszedł?

— Tak...

— Ja też!

— Ale ja z innego powodu.

— Z jakiego?

— Wolałbym śledzić szofera z długą, czarną brodą. Szofera auta Nr. 4541-X-2.

— Autem tym przyjechał poseł do domu?

— Tak, o ile domem nazwać można tylną ścianę Panteonu. Auto moje minęło na bulwarze St. Michel auto Nr. 4541-X-2. Zainteresował mnie szofer z długą, czarną brodą. On skręcił w rue Souffot — i ja skręciłem w rue Souffot — była to najkrótsza droga na rue Clotilde. Gdym objeżdżał Panteon, zniknął mi za rogiem — i zatrzymał motor. Mam dobry słuch. Zatrzymałem auto, wysiadłem i pobiegłem do załomu. Szofer z długą, czarną brodą wysadzał posła de Ronet. Poseł powoli poszedł w stronę swego domu — kierunek wskazał mu zresztą sam szofer, który szybko wsiadł i odjechał. Musiałem iść do pana, dyrektorze. Wróciłem po auto i podjechałem pod 5, rue Clotilde.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

MUNIA TOLINA 5)

Dusze na manowcach

POWIEŚĆ

— Dobrze, więc niech będzie tak, ja zostanę twoją żoną.

Jednakże Andrzej tego dnia, ani następnego, nie mógł zdobyć się na to, aby powiedzieć tak Helenie.

Spotykając przenikliwe spojrzenie jej jasnych oczu, Andrzej odczuwał niepewność, zdawało mu się niemożliwym, że Helena jest tą kłamliwą, przewrotną istotą:

„Jutro jej powiem, jutro."

Kiedy był w szpitalu, kiedy jej nie widział zdumiewał się sam sobie, jak może tak długo wytrzymać jej obecność, lecz kiedy wracał do domu i słyszał łagodny głos Heleny, znowu ogarniały go wątpliwości. W takiej rozterce duchowej przeszedł czas jakiś.

PRZEMIANA

Omywa duszę tak cierpienie, że wszelki fałsz
z niej spadł,
Jeżeli zawiniłam, to grzech przed bólem zbladł,
Ty Jeden wiesz samotną rozpacz, Panie.
Więc przyjdź i otwórz Serce na spotkanie.

I wtedy nagle Helena zachorowała, a to zniweczyło wszystkie marzenia Anny, wszystkie zamysły Andrzeja.

Helena już od dłuższego czasu spędzała noce bez snu, opanowana przez niejasną trwogę — dokąd teraz pójdzie, znowu trzeba iść gdzieś w świat, wynajdywać łatwowiernych, zdradzać i oszukiwać ich!

Nie, nie pociąga jej już to, jest już znużona życiem, widocznie i ona już zaczyna się starzeć, choć ciągle wygląda tak młodo i uroczo. A może kocha Andrzeja? Helena nie dawała przystępu tym myślom, drwiła, bezlitośći z siebie, ona miałaby kochać, wszakże tak niepodobna jest do innych ludzi, nie może więc mieć i uczuć podobnych lecz na wspomnienie o tym, że ma się rozstać z Andrzejem, czuła niewytłumaczony dla niej samej ból, strach przed jutrem, które wydawało się jej po raz pierwszy groźne i nieznane.

Przecież zawsze nie będzie płynęło jej życie tak, jak dotąd, zawsze nie będzie tak powabna, i ona wreszcie kiedyś straci swój czar, nie będzie już mogła tak nad kimś zapanować, a wtedy, przyjdzie samotność; dawniej nigdy nie zastanawiała się nad tym, jaką przerażającą rzeczą w życiu człowieka jest samotność i opuszczenie, szczególnie kiedy młodość przeminie, prawda nieraz i pośród ludzi człowiek bywa tak beznadziejnie sam, lecz w każdym razie jeżeli ma się kogoś kochanego to jest chociaż jakieś złudzenie wspólności myśli i dążeń, a tak? Tak, jak ona teraz, kiedy straciła na zawsze miłość Andrzeja, kiedy powinna od niego wyjechać, nigdy nie domyślała się, że to może być tak bolesne, rozstawać się z kimś, kto przecie był na razie taki sam daleki i niepotrzebny, jak inni.

E, nie, to wszystko nieprawda, nic jej nie powinno być bolesne, nic smutne.

Andrzej wcale nie podejrzewał tych myśli i uczuć Heleny, którymi tak się dręczyła bo były jej obce, był przekonany bez zastrzeżeń, że Helena tylko się cieszy, iż tak go okłamała, że tak zadrwiła zeń, i że odejdzie w świat, by znowu zburzyć czyjeś szczęście, rozchwiać wiarę w kobietę.

Jednego dnia Helen wstała z silnym bólem głowy, nogi miała ciężkie, jakby zdrętwiałe, na sercu czuła przykry chłód; „widocznie razem z chorobą duszy, przyjdzie do mnie choroba ciała" — myślała, nazywając chorobą duszy swoje jakby zarazdzające się uczucie do Andrzeja.

W tym czasie, kiedy Andrzej był w szpitalu, z rana, Helena poczuła się szczególnie niedobrze, chciała zejść na dół, chciała zawołać służbę, lecz kiedy wyszła tylko ze swego pokoju, ostry przeszywający ból w krzyżu, zgasił świadmość i upadła zemdlona.

— Paralisis paraperesis, nie powinniście jeszcze tak rozpaczać, drogi kolego.

Nie powinien jeszcze tak rozpaczać!

Gdyby wiedzieli, że nie dlatego rozpacza, że tak żałuje ukochanej żony, wprawdzie litość obudziła się w nim natychmiast, a dlatego, że taka niespodziewana choroba obala wszystkie jego plany, teraz nie będzie mógł powiedzieć Helenie, aby wyjechała, teraz wszystko się plącze i wikła, Z pewnością, że nie domyślają się, jakie to myśli i uczucia zrodziło w dobrym, powszechnie uwielbianym doktorze Andrzeju, to nieszczęście.

Andrzej wrócił do pokoju Heleny i usiadła koło łóżka. Powiedziała, że już chce wstać, że już czuje się dobrze.

— Odpocznij jeszcze, poleż!

— Nie, Andrzeju, czuję się dobrze, słabość przeszła.

Na próżno Andrzej, pełen niepokoju, że Helena popróbuje wstać, przekonywał ją, ażeby jeszcze odpoczęła; niech się odwlecze ta chwila, w której zrozumiała swoje nieszczęście, lecz Helena nie wyczuła w jego głosie ostrzeżenia, aby nie wstawała, bo się przekona o czymś nieodwołalnym.

Zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę i opuściła nogi na podłogę, dziwiła się dlaczego są tak ciężkie i bezwładne, nie rozumiała, że właściwie nie może wstać. Poprosiła Andrzeja o pantofle.

— Jeszcze poleż, dziecinko, starał się przekonać Andrzej, patrząc na nią z litością.

Helenę zastanowił ton głosu. Andrzej dawno już tak do niej nie mówił.

— Jeżeli nie chcesz mi usłużyć wstanę boso i chciała wstać, bezsilnę nogi ugięły się pod nią, upadła na łóżko, popróbowała znowu wstać i znowu upadła, przerażonymi oczyma patrzyła na Andrzeja... wiedziała już, nogi jej są bez życia, przeniknęła ją bolesna, nagła świadomość nieszczęścia.

— Nie, nie, to nie może być.

Całym wysiłkiem woli popróbowała wstać i upadła znowu.

— Andrzeju, Andrzeju, co to znaczy? Krzyczała, czepiając się kurczowo jego rąk.

— To nic, Heluś, to chwilowe, to przejdzie.

— Prawdę, powiedz, prawdę, to nie chwilowe, to paraliż?!...

— Nie, ot tylko chwilowy bezwład na tle nerwowym, uleczymy cię prędko.

Długo Andrzej uspakajał Helenę, ale ona wiedziała, iż, ją tylko pociesza, że to porażenie, to zesztywnienie nóg, nie jest czymś chwilowym i przejściowym, że to jest bardzo trudne do wyleczenia, że poznał to z kolegami od razu i że tylko lituje się nad nią i nic nie mówi, jak jest naprawdę.

Więc, nie będę mogła chodzić, o Boże!

Łzy płynęły z bezlitosnych, pięknych oczu Heleny.

Żal niezmierny było patrzeć, jak ta istota ludzka, zawsze tak pewna siebie, tak twarda, nieczuła, załamuje się w sobie i rozpacza — oto i ją nawiedziło coś, co wreszcie zmiażdżyło jej niewzruszoność.

Na widok boleści, niedawno tak ukochanej kobiety, Andrzej zapomniał o wszystkim i pocieszał Helenę najczulszymi słowami, wkładając w nie całą tkliwość duszy.

Wreszcie znużona i spłakana, usnęła w jego ramionach, ukołysana zapewnieniami, że ją będzie można uleczyć, oczarowana dobrocią.

— Wiem już o wszystkim, musimy pożegnać się ze swymi marzeniami na zawsze, mogłeś z Heleną rozwieść się i kazać jej wyjechać, kiedy była zdrowa, teraz, kiedy spotkało ją coś tak okropnego, zostaniesz przy niej, Andrzeju, może kto inny tym bardziej wyobraziłby sobie, że ma niezaprzeczalne prawo do rozwodu, właśnie kiedy żona jest tak chorą, tak jest według pojęć zwykłych ludzi, lecz ty przecież jesteś inny, jesteś panem swej woli i dlatego wyrzekniesz się wszystkiego, a zostaniesz przy nieszczęśliwej Helenie.

— Nie trzeba mnie przeceniać, maleńka, mówiłem ci już, że Helenę nie kocham dopóki była zdrowa, odczuwałem do niej głęboką pogardę, teraz nie pamiętam o jej kłamstwach i wykrętach, czuję tylko litość, żal niezmierny do losu za jego bezwzględność, kara jest za wielka, ale ciebie, maleńka, mego szczęścia, nie wyrzeknę się nigdy; zaczekajmy i jeżeli okaże się nawet, iż jest to nieuleczalny wypadek, to czy sam zdobędę się na to, aby jej powiedzieć, że ciebie chcę pojąć za żonę, czy może sama to zrozumie i usunie się dobrowolnie. Jestem takim samym człowiekiem jak inni, idealizujesz mnie Aniu.

— Nie, nie doceniasz siebie, nie można cię brać miarą zwykłych ludzi.

Tak, Andrzeja nie można było brać miarą zwykłych ludzi, jak teraz Helenie powie, że inną kobietę chce wziąć za żonę, właśnie dlatego, że była przedtem tak bezlitosna, tak go okłamała, dlatego teraz tym więcej odczuwa rozpacz, że jest taka nieszczęśliwa i chora, zawsze była tak triumfująca, tak gardziła ludzi, teraz jest złamana, rzucona na dno najgłębszej nędzy.

Przeszło pół roku próbowano różnych sposobów leczenia, aby Helenę postawić na nogi i wszystkie zawiodły.

Andrzej był już teraz przekonany, że nic pomóc nie może, a przecie nie zdobył się dotąd, żeby Helenie powiedzieć, iż zostaje dla niej tylko bratem i przyjacielem, sądził, że Helena doskonale rozumie jego myśli, zgaduje jego pragnienie, zdawało mu się nawet, że wie coś o Annie, ale choć jest tak łagodna i cierpliwa w chorobie, nie może okazać się tak wspaniałomyślna i sama powiedzieć, że chce mieszkać oddzielnie, że zrzeka się praw żony, za mało czasu widocznie ją dzieli do tego okresu, kiedy była tak szydercza, tak drwiąca z uczuć ludzkich, więc jeszcze i dziś nie potrafi wyrzec się czegoś dla innych.

Andrzej szukał zapomnienia w pracy od trapiących go myśli, z Anną nie rozmawiał o tym wcale, a ona od razu zrezygnowała z

marzeń, szczęście było za wielkie, aby mogło się urzeczywistnić.

Helena przeczuwała, że nic ją już nie uleczy, będzie tak leżała bezwładna latami, a Andrzej?

Niesprawiedliwością z jej strony jest wymagać, żeby Andrzej dla niej życie poświęcał, musi odejść od niego i dać mu wolność. Helena dobrze to rozumiała, lecz teraz nie broniła się uczuciu miłości — kochała Andrzeja — szczęściem było dla niej go widzieć, szczęściem słuchać jego głosu, szczęściem, że zwracał się do niej tak pieszczotliwie, z początku, kiedy miała nadzieję, że się wyleczy, błogosławiła swoją chorobę, bo Andrzej nie wspominał teraz już nic o rozwodzie i był dla niej tak niezmiernie dobry, teraz chciałaby już wyzdrowieć, niestety nie było dla niej ratunku, a miała tę pewność, gdyby teraz wyzdrowiała, Andrzej przebaczy jej, a ona już potrafi uzyskać jego miłość z powrotem, ale tak, tak, Andrzej tylko lituje się nad nią.

Cierpienie i miłość do Andrzeja zmieniły do gruntu duszę Heleny.

W ciszy i samotności bezsennych nocy z przerażeniem myślała o swym przeszłym życiu, jakże bezmyślne i marne wydawały się jej teraz dawne pragnienia, aby wszyscy najznakomitsi ludzie ulegali jej wpływom. Osiągała to niejednokrotnie, udawało się jej zawsze, jak tylko pragnęła, wpleść się w czyjąś egzystencję i zniszczyć duszę człowieka, pokalać jego myśli; jednakże Karol nie poddał się jej złym natchnieniom, był jej kochankiem, opanowała jego zmysły, duszą nie mogła zawładnąć, nie uległ jej namowom, a jej zadaniem, jej największym pragnieniem życia było, aby kogoś, kto przedtem starał się iść dobrą drogą, zepchnąć na drogę zła bez powrotu, upajała się tym, że może mieć taką władzę, nad czyjąś duszą piękną i silną.

Lecz Karol nie poddał się temu, czy straciła już może swój urok, czy może był to człowiek, przewyższający niezłomnością woli, wszystkich innych, których dusze przed tym zaraziła?

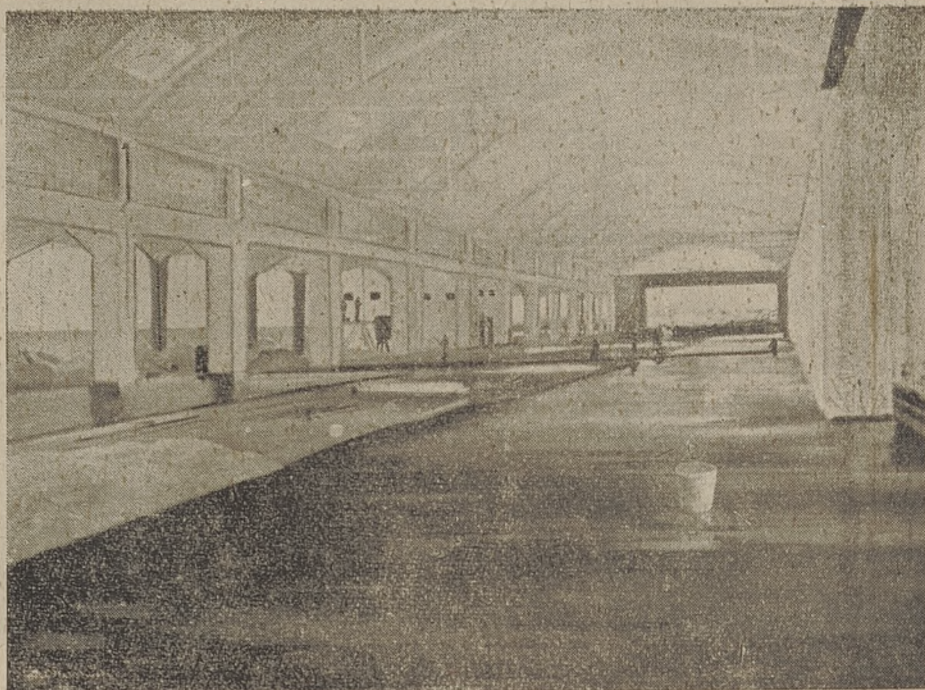
Szpital, to wspaniałe dzieło Karola, pozostał nienaruszony, chociaż ta chciała to wszystko w niwecz obrócić, z uczuciem zgrozy przypominała teraz Helena, jak namawiała Karola, aby wyjechał z Ustronia, chorych nie przyjmował już więcej do szpitali i nie budował nowych, Karol wówczas tylko spoglądał na nią smutnymi oczyma i mówił: „chyba żartujesz?"

Przypominała również profesora Łaneckiego, była jego kochanką piętnaście lat temu, była wtenczas w rozkwicie młodości, nie urody, bo zawsze była niezmiernie piękna.

Łanecki bardzo sławny, mieszkał z żoną, którą niedawno poślubił i którą bardzo kochał i z dziećmi zmarłej siostry; prędko uległ urokowi Heleny, — żona z rozpaczy otruła się, siostrzeńcy wypędzeni z domu, zginęli gdzieś w świecie, sam Łanecki wyjechał na długie lata, porzucając wysokie stanowisko, jakie piastował.

O nim i o innych, którzy przewinęli się przez jej życie, i którym zatruła duszę, zniszczyła byt, a często doprowadziła i do samobójstwa, myślała po nocach Helena, najczęściej wracając myślą do Karola i Andrzeja.

Andrzej przypomniał jej pewnego młodego księdza, zwycięstwo nad którym było



Stalowa Wola — obraz Rafała Malczewskiego, który stworzył cały cykl malowideł, których tematem jest Centralny Okręg Przemysłowy.

jej pierwszym triumfem miłosnym. Spędzała wtedy wakacje na wsi u znajomych, ów ksiądz przyjechał pożegnać się, był wychowankiem tej rodziny. Wyjeżdżał na wyspy trędowatych, by nieść słowo pociechy i ulgę tym najnieszczęśliwszym z pośród nieszczęśliwych. Namówiła go, żeby rzucił swoją pracę, ideę; wyrzekł się swego stanu, zamieszkał w Paryżu i czekał tam na nią; miała wtedy szesnaście lat. Młody ksiądz łatwo uległ czarowi jej pięknego głosu i wyjechał do Francji, gdzie miał jej oczekiwać. Więcej jej nie zobaczył. Tak zdawał się wtedy niezłomny w swych postanowieniach, tak pewien wiary w to, że potrafi utrzymać na wodzy zmysły, a tak prędko cofnął się z obranej drogi; jak cieczyło ją to wtedy!

Nie dowiedziała się już potem nigdy, co się z nim stało, zapewne zginął gdzieś, trawiony przez wyrzuty sumienia, że uległ złym namowom, że zdeptał swoją świętość; a może czekał długo na Helenę, pełen tęsknoty miłosnej?...

A jej serce nigdy nie drgnęło cieplejszym uczuciem, była zawsze doskonale niewzruszona; dlatego była silna, a teraz kiedy pokochała Andrzeja, jakże wszystko się zmieniło! Teraz chce tylko spokoju, choć odrobiny miłości Andrzeja i zapomnienia o dawnym życiu, które było bezustannym naigrawaniem się z uczuć ludzkich.

Czy może żądać od Andrzeja, by ją kochał? Przecież jest chora, nieuleczalnie chora, a Andrzej tylko lituje się nad nią, ale gdyby umarła, Andrzej byłby zapewne szczęśliwym — jest na świecie tyle słodkich, dobrych kobiet, które by świata za nim nie widziały, jeżeliby tylko którąś z nich chciał za żonę pojąć. Na przykład to miłe, młodziutkie dziewczątko, które wtedy spotkała w ogrodzie... byłaby to idealna żona dla Andrzeja, nie to co ona, a teraz jeszcze kiedy jest chora, czyż ma prawo utrudzać mu życie? Andrzej jest tak młody, jest odeń dużo starsza.

Tak, musi odejść. Będzie pragnęła śmierci, i śmierć przyjdzie.

Lecz na myśl o tym, że ma się rozstać z Andrzejem, łzy płynęły z oczu Heleny. Duszę napełniał niewymowny żal — tak dobrze jest jej teraz, choć jest tak nieszczęśliwa, nie może chodzić, ale Andrzej, Andrzej jest tak dobry, tak troskliwy dla niej. Przeżywa teraz swoją pierwszą miłość, nigdy nie wierzyła w to, że w niej kiedyś zapłonie to uczucie, sądziła, że już pozostanie taka nieczuła, odmienna od innych kobiet do końca.

Jak to stało się tak wszystko, jak doszło do tego, że ona rozumie co to znaczy „kocham"? Więc w jej naturze drzemały jakieś nieznane jej obce odczuwania, istnienia których nie podejrzewała, a życie ujawniło je, umocniło, wyprowadziło z tajemnych głębin duszy i teraz może sobie powiedzieć, że kocha Andrzeja?

Nie wiedziała, że miłość może przynieść tyle bólu, a jednocześnie tyle szczęścia i radości, gdyby wcześnie to rozumiała, jakby inaczej pokierowała życiem; lecz nie, widocznie musiała żyć właśnie w ten sposób, aby teraz móc tak kochać i tak cierpieć!

Cierpi, jest smutna, Andrzej pewnie nie podejrzewa nic, a ona mu nic nie powie, chociaż jest tak dobry dla niej, ale zapewne, że nie zapomniał o jej kłamstwach i przewrotności.

A może lepiej by trwać, jak dawniej, o swej zimnej, niezwruszonej nieświadomości uczuć? A teraz, przeszłość kładzie na jej duszy niewypowiedziany ciężar bólu, jakże zmienił się jej cały światopogląd...

POMYSŁ

Helena często siedziała w fotelu przy oknie, wpatrując się z tęsknotą w budynki szpitalne — Andrzej jest przeważnie tak zajęty, że nie często go widuje.

Czasami prosiła, aby ją znoszono na dół i wożono po parku, spotykani wówczas robotnicy, urzędnicy z fabryki szpitali, spoglądali na nią ze czcią, niemal jak na świętą, nigdy nie widywali przedtem tak pięknej istoty — „to żona doktora Andrzeja"

śmierci. Nie mógł w żaden sposób powiedzieć — „zostaw mnie", gdyby umarła wszystko rozwiązało by się tak dobrze, tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli opanowuje się tyle, że jest dla Heleny tak dobry, czuły, nawet ona może mieć wrażenie, że jej przebaczył, że jego miłość nie wygasła całkiem.

A tymczasem on tak się dręczy tym wszystkim, już nie ma dość sił, aby pogodzić się z wytworzonym stanem rzeczy — jak to Helena taki ból mu zadała, tak zlekceważyła swoim postępowaniem, a teraz on ma znosić cierpliwie jej nienawistną obecność? Nie, jeżeli to długo potrwa, to nie wie, jak będzie mógł żyć, jak będzie mógł oddawać się pracy. Szał go ogarnia na myśl, iż to może ciągnąć się latami!

Nowy narkotyk, wynaleziony przez Andrzeja, był niezawodny — usypiał prędko, nie miał żadnego wpływu na działalność serca, nie wywoływał mdłości, mógł być wprowadzony do organizmu przez zastrzyki lub w postaci płynu, przyjmowany wewnątrz.

Robiąc różne doświadczenia, przekonał się Andrzej, że narkotyk ten dawany co dzień w pewnych określonych dawkach, może przyprawić o śmierć najzdrowszą istotę w ciągu dwu tygodni, przy czym jest zupełnie niewidoczny i żadna analiza nie może go wykryć, ponieważ przetwarza się we krwi w pierwiastki nieznane.

Andrzej nazwał ten narkotyk: „Impenet", t. j. wyrazem utworzonym z dwóch łacińskich słów — impune penetrat — co znaczy — bezkarnie przenika.

Był to wytwór chemiczny, trudny do utworzenia, ponieważ wchodziły tam bardzo skomplikowane syntezy pierwiastków, znane na razie tylko Andrzejowi, przy operacjach jeszcze nie próbował zastosowywać „Impenetu", chcąc jak najbardziej szczegółowo i dokładnie przekonać się o jego właściwościach.

Dość często Andrzej pracował w laboratorium szpitalnym, wolał jednakże swoją piękną, obszerną, domową pracownię, wyposażoną we wszelkie nowoczesne urządzenia.

Teraz jeszcze więcej czasu, niż dawniej poświęcał pracy laboratoryjnej i szpitalnej, nie miał prawie wcale chwil wolnych, zastosował ten sam system co w Paryżu, kiedy pogłębiał wiedzę pod kierunkiem profesora Plenier'a: z rana szpital, tj. odwiedzanie pawilonów, badanie chorych, operacje, wieczorem praca w laboratorium: drobiazgowe, pochłaniające całą uwagę doświadczenia, rachunki, formuły chemiczne; ciekawe, często niezmiernie ważne naukowo wyniki tych prób, zdawały się tak zajmować sobą umysł, że jakby nie było już miejsca na rozważania o sprawach osobistych, o przeżyciach może tak wielkich dla siebie, ale jakże małych i nieznacznych w obliczu doniosłej pracy.

A jednak świadomość krzywdy była tak bolesna i uporczywa, że nawet przy najbardziej drobiazgowych żmudnych obliczeniach, Andrzej przypominał sobie z goryczą całą beznadziejność swojej sytuacji życiowej.



Z pieśnią na ustach i uśmiechem na twarzy witamy Nowy Rok.

szeptano, i tę nieziemsko cudną panią, spotkało takie nieszczęście, jak na pewno rozpacza doktor Keller.

Pod wpływem głębokich przeżyć duchowych i cierpień fizycznych, zmienił się cały wygląd zewnętrzny Heleny, cera jaśniała niezwykłą delikatnością i białością, oczy prawie że straciły przykry wyraz. Andrzej zauważył tę zmianę zewnętrzną, lecz nie przypuszczał, że jest spowodowana również zmianą wewnętrzną, duchową, a przypisywał to tylko stanom chorym, i ta nowa idealna piękność Heleny nie wywierała nań już teraz takiego wrażenia, jak na innych, bo wiedział, co się ukrywało pod czarującą powierzchownością, nie mógł bowiem zapomnieć kłamstw żony, litował się nad nią, ale chwilami nienawidził.

Żałował też bardzo Anny, wiedział, że skupiła się w sobie, że stara się nie wspomnienia w pracy.

Anna poddała się temu z milczącą pokorą, jakby oczekiwała, że jakieś nieszczęście stanie na drodze, upragnione chwile zdawały się tak bliskie, lecz nie wierzyła, że mogą się ucieleśnić — to wszystko co ją wszystko co ją spotkało tak nagle, było zbyt oszałamiające, niezwykłe, nawet jakby się nie zdziwiła, jakby przeczuwała, że jednak tak nie będzie i dlatego łatwiej jej było pokornie poddać się temu.

Andrzej nie był tak pokorny wobec losu, jak Anna. Rozumiał, że Helena może żyć długo w takim stanie, więc on ma się tak dręczyć i przebywać z tą chorą kobietą, której nie kochał, chociaż żałuje?

Zbyt wysubtelnione uczucie litości nie pozwalało jej powiedzieć, że ona mu przeszkadza żyć, że pomimo pracy, która jest celem jego życia, pragnie też osobistego szczęścia, pragnie mieć w domu ukochaną kobietę; tak go okłamała, tak zadrwiła z jego miłości, a teraz nie chce zrozumieć, jak jest mu zbędna, nie może powiedzieć, żeby ją gdzieś umieścił nie w swoim domu, zapewne, nie chciałaby patrzeć na jego szczęście, choć była i prawdopodobnie jest, tak nieczuła na wszystko, tak wyniosła, jednak i w niej może obudzić się uczucie zazdrości.

Czasami, kiedy Andrzej wchodził do pokoju Heleny i widział jej przezroczystą, schorowaną twarz, jej piękne, beznamiętne oczy, w których teraz czaił się wyraz niepokoju przed zbliżającym się bardzo powoli, lecz nieuniknionym końcem, zdawało mu się, że Helena zaraz powie: „wiesz co Andrzeju, lepiej wywieź mnie stąd, staraj się o rozwód, weź sobie inną żonę, nie chcę ci być zawadą", niestety było to tylko złudzeniem, bo przeszedł już rok, stan choroby nie zmienił się, Helena była ciągle łagodna, cierpliwa, lecz jakby nie rozumiała, jak dalece może zawadzać w czyim życiu.

Andrzej nie tracił nadziei i ciągle stosował coraz to nowe sposoby leczenia, lecz wszystkie były bezskuteczne, widocznie do zwykłego paraliżu częściowego na tle nerwowym dołączyły się jeszcze jakieś nieznane, trudne do zbadania, chorobowe komplikacje.

Tak więc, pragnąłby bardzo Helenę uleczyć, ale nie zastanawiał się nad tym, co będzie, jeżeli ona wyzdrowieje, jakby naprzód już sobie uplanował nieodwołalnie, że wówczas będzie mógł z zupełnie spokojnym sumieniem przeprowadzić rozwód, a przecie nie przypuszczał ani na chwilę, że może wtenczas zmienić się stosunek Heleny do niego, a tym samym i jego do niej, że może ta choroba spowoduje w niej jakąś przemianę, zrodzi jakieś odmienne nastawienie psychiczne, nie, w jego pojęciu skoro tyle zgrzeszyła, skoro tyle uczyniła złego, skoro tak go okłamała, tak zadrwiła z najlepszych uczuć, to już sprawa przesądzona, winna ciężko odpokutować za swój czyn i na tym koniec.

Na ogół Andrzej był człowiekiem łatwo przebaczającym, wyrozumiałym na błędy ludzkie, lecz w tym wypadku okazał się nie zdając sobie oczywiście z tego sprawy, nieoczekiwanie twardy, nie idący na żadne ustępstwa, na żadne łagodzące przypuszczenia; widocznie dlatego, że dotknęło go to tak osobiście, znieważyło najdotkliwsze poruszenia serca.

Nigdy nie dał poznać Helenie swych myśli i uczuć, ale w głębi duszy pragnął jej

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

RAJ KOBIET



Bajkowa kreacja balowa. Tiul w kolorze włoskiego nieba. Srebrne kwiaty, rzucone na całość i metalowy pasek

Toalety karnawałowe

Karnawał! — Cóż za magiczne słówko, ileż rozkoszy, ile czarownych wizyj wywołuje w rozmarzonej główce pięknej pani! W rytm tanecznych kroków, w rytm jazz'u przesuwa się w rozgorączkowanej wyobraźni cały korowód niewiast, a raczej jednej postaci przyobleczonej w różne szaty, niby obraz zmodernizowanego smoka, który dla odmiany posiada jedną głowę, ale za to dziesiątki ciał o coraz to innej linii...

Bo jakże trudno zdecydować się na wybór sukni spośród tysiąca oglądanych modeli! Pani widzi się w każdej sukni po kolei, widzi się na lustrzanej posadzce wielkiej sali, w blasku rozchybotanych wahadłowo żyrandoli, i jeszcze bardziej w blasku źrenic męskich, których płomienne wejrzenia są najlepszym i zarazem najpochlebniejszym zwierciadłem dla każdej kobiety.

Ożywiona jak najlepszymi chęciami pragnę pomóc pięknej pani w jej trudnym zadaniu. Postaram się wprowadzić na najwłaściwsze tory z dziedziny mody, jej wymagań i nakazów.

A więc przede wszystkim pozostaje nadal linia wyszczuplająca sylwetkę, obcisła w biodrach, za to dół sukni obficie kloszowany. Wśród materiałów używanych na suknie balowe walczą o palmę pierwszeństwa brokat, koronka, tiul i chiffon. Tafta utraciła wszelkie prawa obywatelstwa (oczywiście bez określenia czasu trwania niełaski), mało noszone są lamy, które przeszły natomiast do innej kategorii „społecznej", że się tak wyrażę i z powodzeniem odgrywają rolę spodów pod tiul i koronkę, co w połączeniu z kontrastem barw daje piękne zestawienia. Na przykład haftowany w grochy, czy też drobniutkie motylki czarny tiul na spodzie z niebieskiej lamy, to obraz mogący spędzić sen z powiek niejednej kobiety. Albo też tiul w połączeniu z lśniącym jedwabiem. Widziałam model paryskiej sukni, gdzie góra była z czarnego jedwabiu, a dół tworzył rodzaj nowoczesnej krynoliny z czarnego również tiulu na spodzie tworzącym dalszy ciąg stanika. Krynolina była złożona z 4-ch części, z których dolna była w kształcie skloszowanej szerokiej falbany, a 3 następne kondygnacje składały się z coraz to mniejszych (licząc z dołu do góry) kwadratów obłożonych lamą, których szpice krzyżowały się z sobą. Oczywiście dolna falbana była również zakończona lamą.

Bardzo dystyngowanie przedstawia się model sukni ze ściśle dopasowanego czarnego velour'u: u dołu naturalnie klosz, z przodu na prawym boku wzdłuż całej sukni pas dżetowy, tworzący rodzaj zapięcia, a od połowy łydki rozcięcie. Góra na wąskich ramiączkach zakrytych drugimi z tego samego materiału, bardzo szerokimi, które przerzucone do tyłu przez ramiona, tworzą rodzaj szarf, opadających do linii stanu.

Bardzo noszone w tym sezonie są również suknie stylowe, lecz o mocno zmodernizowanej linii, przypominające stylem czasy Dyrektoriatu. Prześlicznie wyglądają z lekkich powiewnych materiałów, o jasnych, pastelowych tonach.



Wytworna toaleta popołudniowa z srebrnego atłasu lub lamy, przybrana kołnierzykiem i mankietami z futra. Ta suknia zastąpi też toaletę wieczorową, jako t. zw. małą wieczorową

Jeśli mowa o lekkich materiałach, to muszę powiedzieć kilka słów o modelu z firmy Patou. Model wykonany był z żółtego mousseline de soie w połączeniu z aplikacjami z czarnego satin w formie stylizowanych liści, przypominających kształtem znaki zapytania, biegnące wzdłuż całej sukni od stanika (podtrzymywanego wąskimi ramiączkami) poprzez rodzaj krynoliny aż do samego dołu. W talii pasek z kolorowych kwiatów. W ogóle kwiaty i wszelkiego rodzaju sztuczna biżuteria będą ogromnie faworyzowane w tegorocznym karnawale.

DOBRA gospodyni

Potrawy noworoczne

Zraziki z baraniny z ziemniakami. Proporcja: 1 kg baraniny, 8 dkg masła, 2 cebule, 1 kg ziemniaków, 5 dkg mąki, 2 dkg grzybów, pieprz, sól, ćwierć litra śmietany, ćwierć litra rosołu, kilka kropel przyprawy „Knorr". Baraninę z kitki pokrajać w zraziki, wyżyłować i pobić wałkiem. Żyły i kości ugotować oddzielnie z grzybami na polewkę.. Zraziki oprószyć mąką i obrumienić na rozpalonym maśle, po czym wybrać na talerz, a do pozostałego na patelni masła dodać poszatkowaną cebulę, lekko obsmażyć. Obrane ziemniaki pokrajać w talarki, nałożyć na spód rondla, przełożyć zrazikami, dodać cebulkę i znowu ziemniaczki, aż wypełni się rondel. Wlać na patelnię rosół, obgotować przyrumieniony na dnie z mięsa bulion, posolić, wlać do zrazików, dodać pieprzu i śmietany. Nakryć rondel szczelnie, przycisnąć, wstawić do drugiego rondla z wodą gorącą, gotować na parze półtorej godziny, po czym wydać na stół.

Ozór wołowy na szaro. Proporcja: 1 ozór bez podgardla. Na sos: 4 kostki cukru, 5 dkg masła, 2 dkg mąki, $1/8$ litra wina, sok z pół cytryny, szczypta cytrynowej skórki, 5 dkg rodzynków, 5 dkg migdałów, jarzyny i cebula jak do rosołu, 1 łyżka soli. Wymyty starannie w gorącej wodzie ozór gotować z włoszczyzną, korzeniami i solą. Gdy miękki, ściągnąć skórkę, pokrajać w cienkie ukośne płaty. Tymczasem zrobić oddzielnie sos: zasmażyć mąkę z masłem, rozprowadzić smakiem spod ozora, wcisnąć sok z cytryny, wlać wina, włożyć do sosu zrumieniony niezbyt mocno cukier, w końcu dodać wymyte i przebrane rodzynki i parzone i pokrajane w paseczki migdały. Włożyć do sosu ozór i zagotować. Na półmisku ułożyć ładnie, polać sosem, podać oddzielnie ziemniaki duszone z masłem.

Potrawa z ogona wołowego. Proporcja: 1 kg ogona, 6 dkg masła, 2 dkg mąki, 2 cebule, 2 dkg grzybów, mała marchew, pietruszka, seler, szczypta pieprzu angielskiego i gorzkiego, łyżeczka sosu Cabul, pół cytryny, zielony koper i pietruszka. Pociąć ogon przy chrząstce na kawałki, oparzyć wodą i włożyć na rozpalone masło, obrumienić ładnie, dodać pokrajanych jarzyn, soli i cebuli, dusić pod pokrywą. Grzyby ugotować oddzielnie, podlewać od czasu do czasu łyżką smaku grzybowego, aby się mięso nie przypaliło w rondlu. Gdy ogon miękki, dusić sos, aby nie pozostało nic wody, wybrać mięso na talerz, do sosu wsypać mąki, zasmażyć, następnie rozprowadzić smakiem z grzybów i przetrzeć przez sito, włożyć napowrót do rondla, dodać cytrynowego soku, kopru, pietruszki, sosu Cabul, pieprzu i zagotować. Wydać z makaronem, buraczkami lub kapustą. Smakosze zjadają potrawę z ogona z wielkim apetytem i przyprawiają truflami, winem, różnymi sosami, sardelami na różne sposoby.







Toaleta wieczorowa z aksamitu lub crepe satin. Tren z koronki, kwiat z aksamitu w kolorze sukni. Stylowa toaleta balowa z koronki i tiulu. Ogromny kwiat na ramieniu w kolorze kontrastowym.
Popołudniowy wytworny komplet z koronki w kolorze niebieskim lub czarnym.

Ostrygi z ozorków cielęcych. Do przygotowania tej potrawy potrzeba: 3 cielęce ozorki, jarzyny jak do ozoru. Na nadzienie: 5 sardeli, 4 dkg masła, pół cytryny, 2 żółtka, zielona pietruszka, 3 opłatki. Do obrabiania: 2 białka, 1/8 litra tartej bułki. Do smażenia: 6 dkg. masła po połowie ze smalcem. Do garnirowania: 1 cytryna, korzonek chrzanu. — Wymyte staranne ozorki gotować z jarzynami i solą; gdy miękkie, ściągnąć z nich skórę, pokrająć w ukośne płaty. Oddzielnie oczyścić sardele, obrać z ości, przetrzeć przez sito, dodać masła, żółtka, usiekaną pietruszkę i trochę cytrynowego soku, wymieszać dokładnie, smarować płatki ozora z każdej strony, kłaść na czwartą część opłatka lekko zwilżonego wodą, zawinąć dokładnie, przycisnąć lekko w dłoniach; po chwili, gdy opłatek stężeje, smarować piórkiem maczanym w białku, posypać po wierzchu przesianą bułeczką, smażyć na dobrze ogrzanym tłuszczu. Na półmisku poprzekładać ozorki plasterkami cytryny, obłożyć tartym chrzanem.

Polędwica wieprzowa pieczona ze śliwkami. Jeden kg niezbyt tłustej polędwicy nasolić na pół godz. przed pieczeniem, poczem rozpalić 5 dkg smalcu w rondlu, obrumienić polędwicę, wkrająć jedną cebulę, zasmażyć, wlać pół szklanki wody, włożyć na spód czysto umyte suszone śliwki, posypać szczyptą kminku i pomału piec. Sosem spod polędwicy polać po wierzchu mięso, by nie wyschło i ładnie się przyrumieniło. Po godzinie pieczenia powinna być pieczeń miękka — pokrajać ją wówczas w plastry, ułożyć na półmisku, obłożyć wokoło śliwkami i polać sosem, oddzielnie podać duszone ziemniaczki. Można także ugotować śliwki oddzielnie, sosem z śliwek rozprowadzić zasmażoną mąkę, wlać sos ze śliwkami do polędwicy i dusić jeszcze pół godziny pod pokrywą wraz z polędwicą.

Ziemniaczki z wędzonym śledziem. 1 kg ziemniaków ugotować, obrać i pokrajać w cienkie kawałki. Posiekać oddzielnie dużą cebulę i lekko przyrumienić ją w maśle. 4 wędzone śledzie obrać ze skórek i ości, pokrajać w paski, poczem wymieszać lekko z ziemniakami i cebulką, ułożyć na metalowym półmisku, skropić rosołem, posypać suto parmezanem, po wierzchu polać masłem, wstawić na pół godziny do gorącego piecyka, aby zapiekły się i zrumieniły. Z półmiskiem podać na stół. W postne dni można polać ziemniaki zamiast rosołem, śmietaną.

„Alathea".

ŚWIAT I ŻYCIE

Czarnoksięstwo w dawnej Polsce

Czasy poprzedzające wiek dwudziesty, to jedna wielka historia czarnoksięstwa polskiego — historia tak duża i bogata, że nawet ludzi wieku oświeconego w podziw wprowadzić potrafi i zastanowić swymi fantastycznymi cudactwami i dziwactwami. Doskonały, a przy tym ciekawy i interesujący zarys jej, dał nam znakomity poeta i pisarz polski Julian Tuwim w książce swej pod tyt.: „Czary i czarty polskie".

W książce tej, opartej na obszernych studiach i badaniach różnych kronik, rękopisów i starodawnych ksiąg, szczególnie rewelacyjny dział stanowią opisy z życia czarownic. Niewątpliwie zdołają one zaabsorbować swą niezwykłą treścią każdego czytelnika i poza tym dadzą mu bogaty materiał do różnorodnych przemyśliwań i refleksyj na temat wieków zacofanych i czasów obecnych — jakże odmiennych i prawie zupełnie wyzwolonych z ciemnoty i zacofania!

Czarownice — czytamy w wyżej wspomnianej książce — spotkały się z diabłem na Łysej Górze. Czarownice polskie latały na ożogach i miotłach, ruskie — w stędie, żmudzkie na miotłach, litewskie na łopatach. Przed wyprawą nacierały się baby maścią: wysmażony — tłuszcz z dziecka, eleosilinum, aconitum, gałązki topolowe i sadze, albo: z węża, jaszczurki, piórek wróblich i przepiórczych i żabiego — skrzeku.

— „Gdyśmy chodziły na chmiel do lasa — zeznaje jedna czarownica — znalazłyśmy miejsce okrągłe za łąką Maćkową, i mówiły inne, że tu czarownice tańcują i niedługo wzięły mnie na to miejsce. Bielicka i Kotwaska — i niosło nas coś wszystkie, nie chodziliśmy piechotą, i tańcowałyśmy tam i innych dosyć było, ale nie znajome, bo mieliy kapturу na gębie. Grywał nam chłop nieznajomy, — czarną gębę miał. Na długim drewnie pijałyśmy piwo, ale nie wiem, kędy je brały. Zbierają się tam na Boże Wstąpienie. Kotwaska i Bielicka były u mnie, namawiając mnie z sobą. Te, co były w kapturach były grzeczne, pleczyste, biedrzyste, tańcowały z pany. Kotwaska świeczkę trzymała a szklanicę ja, nalewając innym paniom. Na Łysej Górze bywa nas tam ćma, że okiem nie przejrzy. Smarowałam się u Kotwaski. Kiedy się smaruję pod pachą, zaraz kominem wylecę"...

Zaprzysiężona diabłu czarownica wykonywała najróżnorodniejsze praktyki, „sobie pożytki przy wodząc, drugim ludziom psując". Sprawowała czary mleczne, miłosne, myśliwskie, lekarskie, meteorologiczne, wzrokowe, mogła więc: człowieka oślepić, pokrzywić, małżeństwo w sobie ostroczyć, ogień zażegnać, anioła z domu wypędzić, a diabła tam wegnać; śmieciami ciskać, gdy księża chodzą po kolędzie, do poduszki się wyścigać, tam, kędy ksiądz siędzie.

W starych kronikach znajduje się bardzo dużo oryginalnych zapisków z dziejów czarownic. Oto kilka z nich:

„W sprawie przeciw Zuzannie Rozynie (rok 1718) sąd wyszogrodzki kazał podsądną spalić za to, że udoiła cudzą krowę, do mleka wsypała utartych w proszek grzybów, zmieszała to z rosą, przed świtem zebraną i tą mieszaniną polała grządki w ogrodzie".

„Agnieszka Wścibidurzyna widziała na łożu Anny Jedynaczki „kokosz czarną, a kąsek popielata" i znalazła na tym miejscu robaki białe, długie na pół palca, a łby miały czerwone. I widziała, jak je Jedynaczka w ziemi potajemnie zakopała i liściem kapuśnianym to miejsce zakryła. Były to oczywiście jakoweś praktyki czarnoksięskie. Taż Wścibidrzyna twierdziła, że nieraz w swej kapuście jaja znajdowała kokosze i schła od tego, a kiedy je wyjęła, tedy się poprawiała". (Proces w Koźminie, r. 1648).

„Zofia Marchewka małżonce sławetnego pana Kwiatkowskiego diabła w kaszy zadała". — (Brześć Kujawski w r. 1771).

„Chałupnica w Wierzbocicach „zepsowała świnię, którą pies jadł — i ten pies zdechł", poza tym robiła proszki z koszul trupich i z żab parszywych na różne ludzkie nieszczęście, tudzież deszcz zatrzymywała, aby nie ożywiał ziemi."

„Jagata Korfunka ukradła Pana Jezusa w Biechowie na odpuście i smagała na Łysiej Górze, aże krew płynęła, inne zaś biły i dźgały, potem to ze sobą wzięły — to na urodzaj".

Adam Gdacjusz, wielki przeciwnik guseł i zabobonów, opowiada w jednej z swych książek, że w roku 1553 dwie czarownice „sąsiedzie swojej były dziecię ukradły, które na sztuki porąbały i w garncu warzyły. A jako je potem tracić miano, wyznały, że kiedyżby ono dziecię były uwarzyć mogły, tedyby — wszystkie owoce, tak polne jak i ogrodowe przez suszę w niwecz się były poobracały. Ale to tylko zdrada i oszukanie szatańskie było. Bo ponieważ diabeł jest starym physikiem, — który to z eksperiencji i doświadczenia powszedniego ma, kiedy deszcz padać i suszą być ma, więc naczynie swoje, t. j. czarownice, do tego namawia, aby to i owo czyniły: a tedy deszcz padać nie będzie. A tak, gdy to, co im diabeł rozkazał uczyniły, a deszcze gwałtowne i susze wielkie bywają, tedy te biedne niewiasty mniemają, że to one uczyniły.

Aby sprowadzić suszę „czarownica żabę krostową z chlebem do ziemi zakopuje. Póki ona żaba onego chleba nie zje, póty deszcz padać nie może.

Drugie znowu udawają, że mają jakiś worek przeto, gdy się na deszcz zanosi, on worek otwierają, z niego wiatr wypuszczają, który deszcz rozpędza.

Trzecie znowu w prochu się myją, a miotłą go na powietrze ku niebu rzucają. I niektóre czarownice słowa do tego mówią. I tak dlatego deszcz padać nie może.

Chcąc wywołać skutek odwrotny, czarownica bierze piasek w ręce, miecie przez się, obróciwszy się tyłem ku wschodowi słońca, a gdy chce mieć grad, rzuca kamienie z „krzemieniami".

Czarownice tatarskie musiały pono tak ruszniсе czarować, że żadna nie wystrzeliła. Dokumentem do czarów tych poganek był m. in. fakt, że posiadały pieniądze z napisami arabskimi (diabelski język!) W r. 1609 spalono za to przewinienie kilka żon tatarskich.

Znane były oczywiście także wtedy wróżki i czarownice cygańskie. Mówi o nich poeta Klonowicz:

Kiedy one Maenades zeszły się w gromadę,
O czarach i gusłach czyniły więc radę.
Jedna drugą uczyła, zwłaszcza stara młodą,
Owa przed tą rozumem, ta miała urodą,
Jak motacją omamić, kwoli białym głowom,
Jak owocom i mleko odjąć cudzym krowom,
Jako wróżyć na ręku, jak poznać przygody,
Tamże się też ćwiczyły w onej swojej szkole.
Tak przeszłe jak przyszłe pożytki i szkody.
Jak sąsiedzkie przewabić żyto na swe pole
I jako niecić ogień pod słomianym dachem,
Jako mieszek wyszypłać, jako szalić Lachem.

Według starych kronik nawet 10-letnia — dziewczynka Anna sławała w r. 1703 przed sądem wyszogrodzkim, oskarżona o czynienie kolorowych myszy z liścia różanego: „wzięła 4 listki, złożyła je na krzyż i dwa razy chuchnęła"...

Jak już wyżej niejednokrotnie wspominano, czarownice, za ich ciemne praktyki palono żywcem na stosie, pławiono w zimnej wodzie lub też poddawano różnorodnym torturom.

„Porządek sądów miejskich", z r. 1618 zawiera następujący „dowód przeciw czarownikom i tym wszystkim, którzy się z czarnoksięstwa a z gusły obchodzą":

Gdy się pokaże, iżeby kto takowych rzeczy innego chciał uczyć, albo że komu tym groził, a temu, któremu grożono, żeby się stąd co złego przydało, albo też, żeby w tym podejrzanym się być pokazał, słowy, obyczajami, postawą i wszystkimi sprawami, które się w takowych ludziach znajdują, a których takowi ludzie używają, ażeby się tym już osławił — takowemu każdemu słusznie ma być, a to wina dana i za takimi znaki może być i na mękę skazan, ponieważ takowe wszystkie umiejętności, które są naprzeciwko Panu Bogu, i też ludziom chrześcijańskim nie przystoi, żeby się z nimi obchodzić mieli, mają być prawem zapowiedziane i srogo karane.

W procesach o czary nikt nigdy nie występował w obronie oskarżonych. Świadków zato nie brakło nigdy. Przysięgi ich brzmiały, jak poniższa:

„Ja Kazimierz Szymon Piotr przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy świętej Jedynemu, iż ta pracowita Anna, z tejże wsi Wierzbocic, Ratajka jest prawdziwa i jawna czarownica, którą biorę na sumienie swoje, a co czynię, nie z gniewu, nie z nienawiści, nie z zawziętości, nie z namowy, nie z przenajęcia, ale z samej wiadomości i sprawiedliwości. I cokolwiek mnie się i innym ludziom stało, tylko przez nią. Jako i syna mego, o śmierć przyprawiła. A że ta moja prawdziwa i nieomylna jest przysięga, też Annę Ratajkę po pierwsze, po wtóre i po trzecie poprzysięgam i na sumienie swoje biorę. Z tego wszystkiego na strasznym sądzie Boskim rachunek dać obiecuję. Tak mi pomóż Panie Boże Wszechmogący i Jego niewinna męka." (Z procesu w Wierzbocicach r. 1699, z księgi miejskiej miasta Pyzdr.).

W aktach miast naszych 16-ty i 17-ty w. nie ma prawie jednej karty bez skarg na czarownice. Czarownicami nie były jednak nigdy żony burmistrzów, wójtów, cechmistrzów lub majętniejszych obywateli, lecz zwykle kobiety biedne. Gdy jednak podejrzenie padło na zamożniejszą mieszczkę, znajdował się zaraz sposób uniewinnienia jej. Tak np. w roku 1673 posądzono w Kobylinie o czarownictwo żonę Wojciecha Fryderyka, zamożnego obywatela Kobylińskiego. Na prośbę Fryderyka stanął w sławetnym urzędzie burmistrzowskim mieszczanin kobyliński Bijak i oświadczył, iż on, będąc przed tym wójtem, sądził wiele czarownic i egzekucje ostre nad nimi od instigatoris czynić kazał, lecz nigdy nie słyszał, aby sławetna Urszula Fryderykowa o czarownictwo była posądzona. To zeznanie byłego wójta wystarczyło, aby panią Urszulę zwolnić.

Pierwszym, który w Polsce przemówił w obronie męczonych czarownic był anonimowy autor dziełka — „Czarownica powołana" (r. 1639.). Wreszcie w r. 1776, król Stanisław August Poniatowski zażądał na sejmie zniesienia tortur, a Wojciech Kluszewski, kasztelan biecki, dodał, że warto było by zaprzestać w ogóle dochodzenia spraw o czary. — Oba wnioski przyjęto jednomyślnie. Równocześnie ku upamiętnieniu tego faktu, wybito medal z napisem łacińskim, który w przekładzie brzmi: „Mękami wyciągać zawsze wątpliwe wyznanie zbrodni, pociągać do sądu obwinionych o rzekome związki z mocą szatańską zakazał sejm r. 1776 na wniosek króla Stanisława Augusta."

I tak zginął korowód larw i strachów, dziwów i dziwactw, cudów i cudactw, czasem pięknych w swej grozie, czasem groźnych w

potworności, ale zawsze ciekawych, zastanawiających, kryjących za sobą coś nieskończenie niedorzecznego, mimo mniej lub więcej udatnych prób wytłumaczenia.

M. Z.

EUGENIUSZ SEW.

GWIAZDA KAPITANA BERYNGA

(POLARNA TRAGEDIA)

Arktyda — surowa, chłodna, a przy tym bajecznie kolorowa — pociągała duńskiego żeglarza przedziwną swoją poświatą. Mały, zwinny bryg, pod obcą banderą, odmierzył sporo węzłów, nim stanął na kotwicy u brzegów nieznanej wyspy.

Z licznej załogi pozostało tylko dwóch. Kapitan i sternik Piotr Iwanowicz (Semcow). Reszta towarzyszy odpadła. Strawiła ich włóczęga po wodach polarnych.

Jeszcze u brzegów złotodajnej rzeki Jukon przyplątał się do bryga olbrzymi wilczur. Obecnie pełnił służbę na statku razem z kapinem — na zmianę — gdyż Piotr Iwanowicz już wygasał.

W zamian za przytułek i ludzką opiekę, pies oddawał nieocenione wprost usługi. Nieomylnie wyczuwał zmianę pogody, skomleniem zapowiadał zbliżenie się śnieżnej nawalnicy. Poza tym wybornie tropił i chwytał foki, jedyne źródło pożywienia na bezludnej wyspie.

Bryg zapuścił się niebacznie na morza podbiegunowe. Nie zdołał wyśliznąć się z pierścienia lodowców przed nastaniem białej nocy. Zamknięty górami lodowymi, zdany był na łaskę żywiołów.

Potężne masywy lodu, oblane seledynowym blaskiem — dzika przyroda — drzemały. Niczym nie zmącona cisza, ostre, mroźne powietrze, wypełniały białe pustkowia dziwną i przygniatającą melancholią. Polarna noc dłużyła się bez końca, męczyła senność, zaglądało w oczy widmo białej śmierci...

* * *

— Kapitanie — ledwie dosłyszalnie wyszeptał Piotr Iwanowicz, Kapitanie, czy wieczór zapalił już gwiazdę?

— Nie — rzekł krótko zagadnięty. Mimo to ruszył się z miejsca, okrył szczelnie skórami sternika i wyszedł z wilczurem na pokład.

Długo wpatrywał się w brudnożółty firmament, zlany strumieniami polarnej zorzy. Lśniące jej łuki wgryzały się w pierzaste obłoki, niemiłosiernie je strzępiły i rozrywały na drobniusieńkie cząsteczki.

Niezliczone plejady gwiazd iskrzyły się, migocąc bladymi płomykami. Zapalały się, to znów gasły. Zdawało się, jakby przenoszone niewidzialną czyjąś dłonią — tryskały skrami w coraz innym miejscu na polarnym sklepieniu. To tu — to tam — sypały ogniste kaskady skier w bezkresy lazurów.

Kapitan nie dojrzał wyglądanej gwiazdy. Szukał jej nie od dziś. Wierzył bowiem, że tylko ona jest zdolną wyprowadzić bryg z matni lodowców. Nie zawodziła nigdy dotychczas. Wyprowadzała na pełne wody, na lodowych polach służyła za przewodnika, a sterowi nadawała kierunek, gdy statek ślizgał się po nieznanych morzach.

— Nie widać — rzekł głucho. Głaszcząc wilczura — ruszył z powrotem do kajuty.

* * *

Sternik majaczył. Posiniałe od chłodu usta starał się przytulić do kędziorów wilczura, by ogrzać je, ażeby móc odezwać się do kapitana chociaż jeszcze raz, nim przejdzie w zaświaty. Przylegał jak mógł najbliżej do łagodnego zwierzęcia, które wyczuwając niemoc ludzką, samo tuliło się do niego.

Na statku dawno już brakło paliwa. Poszukiwania w okolicy nie dały rezultatów. Chłód mocno ściskał kleszczami śmiałków, co odważyli się wtargnąć do jego królestwa.

— Do widzenia — wyszeptał Piotr Iwanowicz.

— Powiedz moim w domu, że usnąłem, kołysany białymi wichrami. We śnie widziałem gwiazdę, tę naszą...

Wyczerpany do ostateczności urwał. Głowa, opadając bezwładnie — spoczęła na karku wilczura.

Kapitan milczał. Chmurne czoło zdradzało posępne myśli. Biegały one do wyglądanej gwiazdy, która znikła — ukryła się przed jego wzrokiem w niebiańskich przestworzach.

Poznałby ją od razu. Uroczo zawsze iskrzyła się podczas pląsów w lekkich obłoczkach. Zwinnie, jak chyża sarenka, przedzierała się poprzez delikatne chmurki, dążąc stale w jednym i tym samym kierunku. Brygiem opiekowała się, jak kapryśna kochanka. Nieobliczalna — zjawiała się wtedy, kiedy sama chciała. Nie sposób było podporządkować ją mimo najrozmaitszych formuł i wykresów. Niespodziewanie wytryskała w różnych okresach polarnej nocy.

Niepodobieństwem było ruszać w drogę bez jej opiekuńczego skrzydła. Jej tylko były znane niezliczone balustrady północnych szlaków. Na każdym kroku czatowała biała potęga. Zdradzieckie lodowce, nieoczekiwane nawałnice śnieżne, zatory, mielizny. W każdej chwili mógł skruszyć się ster, złamać się maszt, lub rozbić kadłub kruchej łupinki bryga. Podbiegunowe cmentarzysko grzebało bezceremonialnie nieostrożnych żeglarzy.

Wypadki ostatnich dni nie wróżyły pomyślności. Ster w ręku wprawnego duńskiego żeglarza chwiał się. Wysiłkiem, na jaki stać było morskiego wilka, tej miary, co kapitan zdołał on uchronić bryg od rozbicia o krawędź lodowca, uniknąć katastrofy, dobić szczęśliwie do nieznanej wyspy. Ocalić skrzętnie zbierany żółty piasek rzeki Jukon. Ale siły jednych tylko ramion nie wystarczą wszak na długo...

* * *

Sternik gasł w oczach. Coraz bielszy, coraz sztywniejszy. osiniałe usta nie poruszały się już. Niezły był z niego towarzysz. Pogodnie ruszał w drogę po lepsze jutro, dla siebie, dla swojej rodziny, jak tylu innych do niego podobnych poszukiwaczy fortuny. Tamci — odpadli. Zostali na zawsze w białej pustyni. Arktyda wołała go już przed siebie.

Kapitan drgnął. Piotr Iwanowicz odchodzi, co stanie się teraz z nim? Nie — on wróci, on ujrzy swoją gwiazdę — musi ją ujrzeć. Jej rąbek daje nadzieję ocalenia.

Lecz gwiazdy nie dojrzał. Leniwą z natury, obsypywała pieszczotą innego kochanka, krążyła w innej stronie.

Skostniałą ręką skreślił sternika z listy uczestników wyprawy. Odwrócił się, by zamknąć oczy ostatniemu towarzyszowi niedoli.

W tej chwili pies zawył; przeciągle. głucho dzwoniło echo w uszach kapitana. Nakrył się, jak mógł najszczelniej skórami i rozmyślał nad położeniem. Zasoby sił żywotnych były na wyczerpaniu. Budził się z odrętwienia, resztkami woli starał się nie zasypiać. Zmęczenie ogarniało jego członki, jakaś dziwna niemoc rozpełzła się po całym ciele. Powieki klei nieubłaganie sen...

* * *

Z wiosną wichry ustały. Lodowata toń ruszyła swoje wody. Zabłysnął upragniony dzionek. Radował purpurą świtu, olśniewał blaskiem południa, by znów wytrysnąć schyłkiem zachodu.

Kruchą łupinkę duńskiego żeglarza dostrzegli inni przybysze, zapuszczający się w poszukiwaniu przygód, na daleką północ.

Weszli do kajuty. Piotr Iwanowicz leżał pod ścianą. Kapitan siedział nieruchomo, a u jego nóg spoczywał skulony wilczur. Nie doczekali się swojej gwiazdy. Na bezludnej wyspie zginęli jako zdobywcy północy, odkrywcy Alaski.

Pamiętnik kapitana Vitusa Berynga otworzył źródło dostatków. Zastąpił następcom jego gwiazdę. Na północne wody zapuszczały się teraz okazalsze statki, lepiej ożaglone i zwinniejsze. W niedługim czasie po nich arktyczny szlak pruły potężne parowce. Nie zastanawiali się wcale nad tragedią małego bryga. Kapitanie pamiętała tylko gwiazda. Zmyła ona swoim blaskiem jego podnóże i trysnęła fontanną potęgi większej niż śmierć, bo potęgi, która daje zawsze początek wiecznego życia, które nigdy się nie urywa i nigdy się nie zmienia.

Szary człowiek, pod jej wpływem przedzierżgnął się w olbrzyma. Brnąc na północ oddał ludzkości blaski życiodajne, blaski zastępujące krew organizmów państwowych...

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin

Każ	że	nien	się	za
rać	miał	dy	by	wy
a	wi	XX	mło	czym
rość	pie	kij	bie	na
po	rać	sta	pod	du

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

LOGOGRYF

uł. „Eros".



Znaleźć 15 wyrazów, które czytane w lewo i prawo, mają to samo znaczenie.

1) Imię żeńskie, 2) sprzęt sportowy, 3) odmiana od mieć, 4) doliny, in. 2. przyp. 5) imię żeńskie, 6) część twarzy, 7) papuga, 8) plemię niemieckie l. p. 9) miasto franc. fon. 10) imię żeńskie. 11) wózek dwukołowy. 12) na niego, in. 13) zabronienie. 14) przyprawa do potraw, 15) tamto in.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznaczą nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 6 stycznia 1939 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 51 „Moich Powieści::

I Konikówka: „Źle jest, gdy człowiek musi znosić nieszczęścia, ale gorzej, gdy one go lepszym nie czynią".

II. Uzupełnianka: 1) Pitagoras. 2) Kapitanat. 3) Filipiny. 4) Missisipi.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jabłoński Jan — Warszawa, Ciecierski Feliks — Toruń, Arndtowa Wanda — Łódź, Lenart Tadeusz — Rakoniewice, Podhalicz Stefan — Lwów, Rosiak Stanisław — Dąbie n. Nerem, Stefańska Maria — Chorzów I, Migułówna Emilia — Rzeszów. Wincenty Kawecki — Modzerowo p. Włocławek. Nawolski Adam — Annapol — Lubelski.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Jabłońskiemu z Warszawy i Ciecierskiemu z Torunia.

Radio

Niedziela, dnia 1 stycznia 1939 r. — Nowy Rok

7.15 Audycja poranna 9.25 „Śląscy betlejkarze” — audycja muzyczno-słowna 10.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry Poznańskiej, śpiewa Chór Katedralny ks. dr. Gieburowskiego 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.00 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 13.05 **Międzynarodowa audycja noworoczna** 13.20 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 14.45 „Wycinanki noworoczne” — audycja dla dzieci 15.10 Audycja dla wsi 16.30 „Żółta szlafmyca albo kolęda na Nowy Rok” — komedio-opera Zabłockiego z Wilna 17.30 Koncert rozrywkowy 18.10 Przemówienie noworoczne dyrektora naczelnego Polskiego Radia min. Konrada Libickiego 19.00 Noworoczna audycja sportowa 19.35 Utwory Mozarta z płyt 21.20 Muzyka taneczna 21.40 „Telegramy noworoczne” — wesoła audycja z Katowic 22.20 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 2 stycznia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 15.00 Słuchowisko dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 Współczesna muzyka angielska — koncert z Łodzi 17.30 Koncert kameralny 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Koncert rozrywkowy z Poznania 19.00 Audycja żołnierska 21.15 Recital fortepianowy Zofii Kerntopf-Romaszkowej 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry P. R.

Wtorek, dnia 3 stycznia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „Gospodarze Parku Yellowstone” — pogadanka dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Polska muzyka fortepianowa w wykonaniu I. Kurpisz-Stefanowskiej 17.05 Recital na viola da gamba F. Macalika 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Z filmów i rewii — koncert rozrywkowy 21.15 „Manfred” — poemat dramatyczny Byrona, muz. Schumanna 22.15 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 4 stycznia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „Nasz koncert” — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.20 Dom i szkoła: Ochrona dzieci przed gruźlicą — odczyt 16.35 Recital wiolonczelowy w wyk. Waleriana Deca 17.15 Koncert solistów 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy: „Wędrówka do miasta czy rozwój wsi” 19.00 „Pociąg w nieznane” — audycja muzyczna 21.00 Opowieść o Chopinie: Mazurki 22.00 Folklor różnych narodów: Grecja — audycja muzyczna 22.40 Wiedza i książka: „Ścieżka obok drogi” — odczyt.

Czwartek, dnia 5 stycznia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 Przyjaciele Mowgli'ego Żabki — pogadanka dla młodzieży 15.15 Kłopoty i rady: „Nie mam na nic czasu” 15.30 Muzyka obiadowa 16.20 Duety wokalne — koncert z Wilna 16.45 „Trzej królowie wzorem mody” — felieton 17.00 Z teki lwowskich kompozytorów — koncert 17.40 Szlakiem Batorego i Tyzenhausa — pogadanka 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Życiorysy instrumentów — organy i perkusja — gawęda muzyczna 19.00 Muzyka rozrywkowa z Krakowa 21.10 Muzyka 21.30 Teatr Wyobraźni: Znakomity Gaudissart — opowiadanie Honoriusza Balzaca 22.02 Muzyka taneczna 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 6 stycznia 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.00 Słowiańska kantyczka — audycja muzyczno-słowna 9.30 Gloria in excelsis Deo.. — koncert 10.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry Ormiańskiej we Lwowie 12.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.00 Powieść romantyczna — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.35 „W Trzechkrólowe święto” — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Komedie Fredry. Wiecz. XIV „Cudzoziemszczyzna” 17.00 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka 17.30 „Gejsza” — operetka Jonesa 19.30 Koncert rozrywkowy 21.15 „Piękne głosy” — koncert z płyt 22.00 „Jak się bawić, to się bawić” — wesoła audycja 22.30 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Sobota, dnia 7 stycznia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci: „Wielki malec i mały malec” 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.35 Ludwik v. Beethoven: Oktet op. 103 17.05 Gdy ziemię naszą opuszczały lody — pogadanka 17.20 Koncert solistów 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert rozrywkowy (z Katowic) 21.00 Przy sobocie — po robocie — wielki koncert rozrywkowy (transmisja z sali Y. M. C. A. 24.00—1.00 Muzyka taneczna.

HUMOR

POMYŁKA

Antoni ma obrzmiałe, zapuchnięte oko, z sińcem mieniącym się wszystkimi barwami.

— Antek! Któż cię tak urządził?

— Hm, powiedz, czy znasz tę blondynkę, Franię, z ulicy Długiej, której narzeczony jest w Ameryce?

— No, tak, ale co to ma do tego?

— Jej narzeczony wcale nie jest w Ameryce!

KŁOPOTY ZAMOŻNOŚCI

— Słuchajcie-no Janie, dlaczego wy właściwie zawsze nosicie ten brudny sweter — czy nie macie ani jednej koszuli?

— Ale gdzie tam, proszę pani, mam masę koszul — ale, tak się zawsze składa, że obydwie są w praniu.

PIJAK USPRAWIEDLIWIA SIĘ...

Mąż (przerywając wymyślającej mu żonie):

— Dobrze ci mówić, moja droga. Leżysz sobie w ciepłym łóżku i śpisz, a ja nieborak muszę po całych nocach zalewać się zimnym piwskiem!

ZAPALCZYWY RYBAK

— Cóż to? Wśród takiego deszczu łapiesz ryby? W dodatku masz twarz spuchniętą po jednej stronie, jakby cię zęby bolały.

— Deszcz mi nie przeszkadza, gdyż i tak już przemokłem, a nie mam spuchniętej twarzy-tylko trzymam tam glisty, by mi nie uciekły.

ROZTARGNIONY PROFESOR

— Czego pan szuka, panie profesorze?

— Parasola.

— Przecież ma go pan w ręku.

— Ach, dziękuję bardzo. Gdyby nie pańska uprzejmość, wróciłbym bez parasola do domu.

W SĄDZIE

Sędzia: — Więc oskarżony sam dokonał włamania?

Włamywacz: — Tak, wysoki sądzie, teraz tak trudno o uczciwego wspólnika.

DOBRZE ZROZUMIAŁ

Żona: — Antku, jeśli mi nie kupisz nowej sukni, to skoczę do wody...

Mąż (otwierając drzwi woła): — Andziu, przygotuj wannę, bo pani chce się wykąpać.

PECHOWIEC

— Jeżeli tak boisz się złodziei, to dlaczego nie kupisz sobie rewolweru.

— Dziękuję... żeby mi jeszcze rewolwer ukradli!

CHOROBA ŻONY

— Słyszałem, że pańska żona źle się czuje. Na co skarży się?

— Przede wszystkim na mnie.

SZKODA

Lekarz: — Czy pan pali?

Pacjent: — Nie panie doktorze.

Lekarz: — Szkoda, bo bym zabronił panu palić...

W EPOCE RADIA

Dziadek uciął sobie poobiednią drzemkę, chrapiąc przy tym głośno w najrozmaitszych tonacjach. Mała Ninka bawiła się w tym samym pokoju. Kiedy weszła matka, zauważyła, że dziecko majstruje coś przy guzikach dziadkowej kamizelki.

— Co robisz, Ninko? Nie trzeba dziadkowi przeszkadzać!

— Ależ mamusiu, ja mu nie przeszkadzam! Próbuję tylko nastawić inną stację!

NOCNA PRZYGODA

— Obudziłem się wczoraj w nocy i widzę, że ktoś przeszukuje kieszenie mego ubrania. Chwytam więc za rewolwer, ale... nie strzeliłem.

— Dlaczego?

— Nie chciałem zostać wdowcem.

NIEDOŚWIADCZONY

— Wiesz, jakiś uczony obliczył, że na każde dziesięć małżeństw przypada jedno szczęśliwe.

— Nie mogę nic powiedzieć w tej sprawie. Nie mam doświadczenia, bo jestem żonaty dopiero po raz czwarty.

SOBOWTÓR

Słynnemu aktorowi filmowemu przedstawiają jego sobowtóra.

— We wszystkich niebezpiecznych sytuacjach ten człowiek będzie pana zastępował — oświadcza aktorowi reżyser.

— Doskonale się składa! — woła uczony aktor — Niech pan zaraz uda się do mego domu i powie mojej żonie, że dziś nie wrócę na noc.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4.50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma. a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI” — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. L.